Cena 10 zł.

DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok III — Warszawa, 23 lutego 1947 r. — Nr 8 (65)

Marian Jadlicz

O WŁAŚCIWYCH DROGACH POROZUMIENIA

Trudnoby może powiedzieć, że Bismark przegrał swoją walkę z kościołem, tak ironicznie "kulturkampfem" nazwaną. Faktem jest jednak, że walki tej ostatecznie zaniechał, wycofał się z niej, uchodząc na drogę kompromisowego „modus vivendi". I wiemy z historii, że przykład Bismarka nie jest odosobniony. Trudno sobie nawet wyobrazić polityka i męża stanu z prawdziwego zdarzenia, który by konfliktu i wojny z kościołem za ostateczność nie uważał i ewentualności tej uniknąć nie wolał.

Przecież nie tylko mądry Bismark, ale także i jego niepoczytalny spadkobierca ideowy i kontynuator — Adolf Hitler usiłował osiągnąć jakieś oficjalne modus vivendi z kościołem katolickim. Przecież III Rzesza miała oficjalny konkordat z Watykanem i nazywało się, że w zasadzie, formalne przepisy prawne umowy konkordatowej przez obie strony są respektowane.

Hitler był zbyt brutalny, by móc uniknąć otwartego starcia z Kościołem. Ale pamiętać trzeba, że płaszczyzną starcia była sytuacja katolicyzmu w krajach przez Niemców okupowanych. Na terenie właściwej Rzeszy usiłowano zachowywać pozory „modus vivendi" w myśl postanowień konkordatu.

Ale jest przecież oczywiste, że konkordat — nawet, gdyby naprawdę postanowienia jego były lojalnie respektowane — stanowił tylko oficjalną formę prawną, pokrywającą powierzchownie stan toczącej się nieubłaganej walki pomiędzy Kościołem i hitlerowską III Rzeszą.

We wspaniałej, wiekopomnej encyklice „Mit brennender Sorge" niezwykle ostro piętnował papież Pius XI ideologię narodowo-socjalistyczną, ostrzegając katolików niemieckich przed śmiertelnym niebezpieczeństwem jakiegoś kompromisu ideowego z hitleryzmem.—Ale tenże sam wielki papież dopuścił przecież konkordat z III Rzeszą. Fakt niezwykle charakterystyczny, niezmiernie wymowny.

Papież rozumował dobrze, że konkordat z hitlerowską III Rzeszą nie oznacza wcale zawieszenia broni w walce na śmierć i życie pomiędzy katolicyzmem i hitleryzmem. Konkordat ten nie oznaczał wcale pokoju religijnego w hitlerowskich Niemczech. Oznaczał tylko uregulowanie prawne spraw administracyjnej natury, konieczne dla egzystencji i pracy instytucji Kościoła katolickiego w Niemczech. Na fakt ten warto jest zwrócić baczną uwagę i warto go sobie przemyśleć. Jest to przykład wymowny, jak bardzo nieraz ograniczone i drugorzędne znaczenie może mieć fakt oficjalnego, prawnego uregulowania spornych spraw organizacyjnych pomiędzy Kościołem i państwem.

W warunkach obecnej sytuacji socjologicznej, umowy konkordatowe ze Stolicą Apostolską mogą b. łatwo przybierać charakter rozwiązań tylko powierzchownych. I faktu tego nie rozumie bardzo wielu polityków, myślących wciąż jeszcze przestarzałymi kategoriami państwa liberalnego. Jesteśmy świadkami niebezpiecznego archaizmu myślowego. Zagadnienie stosunków pomiędzy Kościołem i państwem pojmowane bywa wedle dawnej formuły bismarkowskiej, formuły oczywiście przestarzałej, nieaktualnej, dla której trudnoby znaleźć miejsce we współczesnej rzeczywistości, w nowym układzie warunków socjologicznych. Nieporozumienie, któremu wartoby już kres położyć.

Najpierw formuła „modus vivendi" wedle Bismarka, to formuła wynikająca z ducha epoki liberalnej, odpowiadająca założeniem państwa liberalnego. Państwo to miało być w założeniach swoich ideowo i etycznie neutralne, znało więc tylko rozwiązania formalne, poza ideowe. W stosunkach między Kościołem i państwem wystarczało uregulowanie spraw administracyjno-prawnych i dokładne rozgraniczenie kompetencji. Jeżeli więc konkordat załatwiał takie kwestie, jak np. sprawa uposażenia duchowieństwa, sprawa dóbr kościelnych, obsadzania wakujących stolic biskupich i parafii, brachium seculare i t. p., to przez uregulowanie tych spraw, całokształt zagadnienia katolicyzmu w państwie zdawał się być wyczerpany. Dziś także oceniamy pierwszorzędną wagę tych wszystkich spraw, ale rozumiemy dobrze, że naiwnym uproszczeniem byłoby mniemać, że prawne uregulowanie ich oznaczać by mogło rozstrzygnięcie i wyczerpanie problemu katolicyzmu w danym państwie.

Państwo współczesne nie jest już ideowo neutralne i nie może być indyferentne. Zagadnienie katolicyzmu musi się rozstrzygać do dna.

W którymś z numerów „Odrodzenia" czytaliśmy ciekawe uwagi na temat — jeśli tak można powiedzieć — dezaktualizacji Sienkiewiczowskiego „Quo Vadis". Autor słusznie zwracał uwagę, że zarysowana u Sienkiewicza koncepcja świata chrześcijańskiego wydaje się nam dzisiaj — w okresie powieści Bernanosa, Daniela Ropsa, Mauriak'a — symplicystycznie naiwną, oleodrukową. — A przecież przed 50 laty epostowali się tym ludzie o bardzo poważnym autorytecie katolickim. Przypominam sobie rekolekcje szkolne sprzed mniej-więcej 20 laty, na których popularny kaznodzieja jezuita wołał z patosem — „gdy chcecie się umocnić w wierze, czytajcie „Quo Vadis"... Dziś śmieliby się chyba nawet sztubacy.

Przykład ten — może jak wiele innych — ilustruje ogromny zakręt i wielki dystans, który myśl katolika odbyła w okresie ostanich dziesiątków lat. Przykładów ewolucji podobnie szybkiej i równie doniosłej trudnoby się chyba doszukać w całej dotychczasowej historii katolicyzmu. Przeobrażenia są zasadnicze i niedostrzeganie lub niedocenianie ich oznacza obracanie się w świecie zupełnych fikcji. Fikcji też dopuszcza się, kto zagadnienie współżycia z katolicyzmem ujmować usiłuje w kategoriach — mniej więcej — dawnej formuły bismarkowskiej. Możliwości już dawno zdystansowane.

Pogłębienie myśli katolickiej zaznacza się jako przesunięcie od formy do treści. W związku z tym idzie oto względna dewaloryzacja zagadnień prawno - administracyjnych w życiu Kościoła, a wysuwanie się na czoło kwestii moralnych. Oczywiście mówimy tu zasadniczo i podkreślamy ewolucyjność rozwoju. Odpowiadato w sposób naturalny postępującemu wciąż pogłębieniu myśli i pogłębieniu życia wewnętrznego w Kościele, a zagadnienia materialne i gwarancje prawno - administracyjne tracą raczej na znaczeniu.

Rozwój myśli i żywszy nurt życia nadprzyrodzonego powodują rozbudowę i umacnianie się ducha ubóstwa. Zagadnienia naturalne mają już dziś znaczenie wtórne i ograniczają się do troski o pewne minimum, niezbędne dla kontynuowania jakichkolwiek prac ludzkich, w warunkach życia współczesnego.

Tak samo coraz mniej ogląda się Kościół na władzę świecką, w stosunkach z państwem, wysuwając na czoło postulat respektowania zasad moralnych, a redukując coraz bardziej dezyderaty pomocy Kościołowi ze strony władzy świeckiej. Widmo teokracji, które jeszcze w okresie przez pierwszą wojną światową mogło naprawdę straszyć polityków w wielu państwach, należy dziś już do repertuaru skończonych ewentualności historycznych, pomimo, że spotyka się jeszcze działaczy i polityków, którzy nie bardzo sobie z tego umieją zdać sprawę. Sukcesy niektórych prądów totalistycznych stworzyły złudzenie możliwości powrotu ku tendencjom teokratycznym, w formie jakiegoś „nowego średniowiecza". Było to jednak nieporozumienie, oparte na powierzchownej obserwacji rozwoju dziejów i niezrozumieniu głębszego ich podłoża. Klęska ruchów faszystowskich odsłoniła już dostatecznie jaskrawe uproszczenia, głębokiej skąd inąd, historiozofii Bierdiajewa, przyznając w pełni słuszność tezie Mauritain'a o świeckim charakterze cywilizacji przyszłości.

Są w obozie katolickim ludzie, którzy mówienie o jakichkolwiek różnicach w postawie ideowej, czy, ściślej by może powiedzieć, o różnicach w stylu ideowym pomiędzy katolikami, skłonni są uważać za fakt jakiejś niesolidarności wewnątrz obozu. Ze stanowieskiem takim nie możemy się zgodzić. Jedność ideowa i organiczna obozu katolickiego ma fundamenty dostatecznie mocne i spójnię dość głęboką, by można bez obawy mówić o pewnych odmianach w zasadniczym stylu i o różnych koncepcjach w rozwiązywaniu

Wytyczne

Sprawa votum zaufania

DNIA 8 lutego nowy rząd premiera Cyrankiewicza stanął po raz pierwszy przed Sejmem. Po deklaracji programowej premiera przedstawiciele poszczególnych klubów parlamentarnych określili stosunek swych stronnictw do rządu. PPR, PPS, SL, SD, SP i PSL — Nowe Wyzwolenie udzieliły rządowi pełnego poparcia. Poseł Wójcik w imieniu PSL i poseł Żuławski, jako niezależny socjalista, w imieniu własnym poddali ostrej krytyce działalność poprzedniego rządu, jak też zasady, na jakich powstał rząd obecny, tym samym ustosunkowując się do niego negatywnie.

W imieniu Klubu Katolicko-Społecznego poseł dr. Jan Frankowski złożył deklarację uzasadniającą powody, dla których klub katolicki wstrzyma się od udziału w głosowaniu nad votum zaufania dla nowego rządu.

Stanowisko to wymaga pewnego omówienia. Przez sam fakt kandydowania do Sejmu niezależni działacze katoliccy dostatecznie mocno podkreślili swój stosunek do rzeczywistości polskiej. Było to ostateczne przekreślenie wszelkiej negacji i bierności politycznej. Była to odważna próba wejścia do tej rzeczywistości i próba wpływu na nią. Była to wola wskazania drogi innym środowiskom katolickim, wskazania drogi najszerszym rzeszom katolickim w Polsce. Napewno społeczeństwo z uwagą obserwuje los tej dosyć pionierskiej próby.

Środowisko katolickie, reprezentowane przez posłów, stoi na stanowisku współpracy z rządem wszędzie tam, gdzie wymaga tego polska racja stanu. Polska racja stanu wymaga dziś przede wszystkim ostatecznego zatwierdzenia granic zachodnich i ugruntowania polskości Ziem Odzyskanych, wymaga kontynuacji obecnej polityki zagranicznej, wymaga mobilizacji sił społecznych do odbudowy moralnej i gospodarczej kraju, wymaga wreszcie spokoju wewnętrznego. W realizacji tych wielkich zadań posłowie katoliccy deklarują gotowość pełej pomocy, deklarują równocześnie gotowość współpracy we wszelkich konkretnych sprawach.

Za całość jednak programu i za całość przyszłych prac rządu nie mogą ponosić odpowiedzialności. Stanowisko to jest chyba jasne i zrozumiałe.

Rząd premiera Cyrankiewicza nie jest właściwie rządem nowym — jest dalszą kontynuacją linii rozwojowej PKWN'u i rządu Tymczasowego. W tym minionym okresie istniało szereg konfliktów między obozem rządzącym a środowiskami katolickimi w Polsce. Nie to jednak jest główną przyczyną postawy, zajętej przez posłów katolickich.

Pełne poparcie i współodpowiedzialność za jakikolwiek rząd w Polsce przez odłam społeczeństwa reprezentowany przez Katolicko - Społeczny Klub poselski, jest możliwe tylko w razie spełnienia dwóch zasadniczych warunków:

1) Przyjęcie zasady współrządzenia — jak ma to np. miejsce we Francji. W takim wypadku ci katolicy musieliby uzyskać możność zorganizowania własnego poważnego stronnictwa i mieliby swoich przedstawicieli w rządzie. Program takiego rządu byłby wypadkową ścierających się poglądów poszczególnych stronnictw. Byłby kompromisem, w którym głos katolików odgrywałby dużą rolę.

D. c. na str. 2

W kraju...

W IMIĘ REALIZMU

Na czoło zagadnień politycznych ubiegłego tygodnia wysuwa się przede wszystkim deklaracja Premiera nowo utworzonego Rządu, J. Cyrankiewicza. Sam mówca wahał się nazwać ją mianem „expose", nie mniej mowa zawiera wytyczne dla wszystkich niemal zagadnień polityki polskiej. Prasa stołeczna i prowincjonalna zaopatrzyła je w szczegółowe komentarze, to też na tym miejscu pragniemy zwrócić uwagę na te tylko punkty, które mogły ulec przeoczeniu. I tak, charakteryzując ogólnie, mowa jest zapowiedzią polityki realizmu. W imię tego realizmu premier w dziedzinie stosunków międzynarodowych zapowiedział zachowanie dotychczasowych sojuszów i jak najtrwalsze stanowisko w sprawie polskiej granicy zachodniej, w imię tego realizmu podkreślił wagę zagadnień gospodarczych. Tu należy zwrócić uwagę na przygotowaną walkę z biurokratycznymi przerostami, które tak bardzo ciążą na naszym życiu społecznym.

Do Warszawy powołani zostali referenci Min. Odbudowy, którzy utrzymują, że przy zastosowaniu oszczędności uda się obniżyć wydatnie (w niektórych wypadkach do 20%) koszty inwestycji i funkcjonowania aparatu państwowego. Oby tylko nie dać się ponieść zbytnio w tej dziedzinie doktrynerstwu, bo np. zapowiedź min. Osóbki-Morawskiego w sprawie podporządkowania administracji ogólnej urzędów dotychczas niewłączonych, budzi poważne obawy zbytniej centralizacji.

W każdym razie należy się liczyć z redukcjami po biurach i urzędach. Naszym zdaniem będą to nadzwyczaj słuszne posunięcia, o ile zredukowanym zapewni się możność rozpoczęcia innej pracy i nie odbierze uprawnień (mieszkanie!), przysługujących urzędnikom.

* * *

Osobną i najważniejszą chyba grupę zagadnień stanowi zapowiedziane uregulowanie stosunków między Kościołem a państwem. Pisaliśmy o tym zagadnieniu wielokrotnie. W tym miejscu należy wyrazić życzenie, by niezależnie od koniecznych ustaleń prawnych jak najdłużej zachowana została obustronna wola zrozumienia i głębokie, moralne poszanowanie wzajemnej roli w życiu narodu i jednostek.

NA DRODZE STABILIZACJI

W DNIU 12 b. m. Prezydent Bierut udzielił dziennikarzom zagranicznym, przebywającym w Warszawie, informacji w sprawie zapowiedzianej amnestii. Tenor tej wypowiedzi budzi otuchę. Uwolnieni od odpowiedzialności mają być szerokie rzesze zagubionych dotychczas w konspiracji i ci wszyscy, których obawa kary trzyma dotychczas na obczyźnie. Jest to duży krok w zakresie stabilizacji polskich stosunków, bez którego wszelkie próby „postawienia kroku naprzód" stanie się fikcją. Jak informuje prasa opinia zagraniczna przyjęła zapowiedź amnestii z dużym zadowoleniem.

problemów, objętych starą, a mądrą maksymą Kościoła Katolickiego, ustalającą: „in dubiis libertas". W każdym obozie są młodzi i starzy, jest pokolenie odchodzące, panujące i przychodzące. Różnica stylu kulturalnego jest zrozumiała i uzasadniona. Tym bardziej w obecnej dobie dziejowej, gdy wszystkie kierunki ideowe przeżywają ewolucję o epokowej doniosłości.

Gdy chodzi o ludzi z pokolenia młodszego, które nowoczesnym i postępowym bywa nazywane, dogadanie się z nimi dla ludzi spoza Kościoła jest i łatwiejsze i trudniejsze. Jest łatwiejsze ze względu na zrozumienie i przyjęcie przez nich tezy Maritain'a o konieczności emancypacji życia świeckiego i świeckim charakterze cywilizacji przyszłości. Ale mowa tu o emancypacji ze względu na interwencję czynników kościelnych, jako takich, w sferę życia politycznego i społecznego. Ale zupełnie odrębne zagadnienie stanowi sprawa emancypacji jakiejkolwiek dziedziny życia społecznego spod mocy obowiązującej kategorycznych nakazów i zakazów etyki chrześcijańskiej. Gdy chodzi o moc obowiązującą nakazów moralności chrześcijańskiej, katolicy są dziś daleko więcej bezkompromisowi i nieustępliwi, niż byli przedstawiciele dawnego pokolenia sprzed 20 czy 50 lat. I w miarę pogłębiania się i umacniania dynamizmu ideowego w katolicyzmie, ten maksymalizm moralny będzie wzrastał. Młode pokolenie katolików świeckich, a także i młode pokolenie duchowieństwa, dało dowody pełnej i ofiarnej bezkompromisowości moralnej w wielu krajach Europy, a w Polsce w pierwszym rzędzie, w okresie inwazji i okupacji hitlerowskiej. I istnieją wszelkie obiektywne dane, aby twierdzić, że ta postawa bezkompromisowości moralnej będzie się wzmacniać i rozbudowywać.

Ze względu na ten maksymalizm moralny, porozumienie z obozem katolickim może być teraz często trudniejsze. Jakikolwiek kontrahent liczyć się musi z obojętnością na pozory i formy, a wrażliwość na istotę rzeczy.

Gdyby Hitler lojalnie nawet wypełniał przepisy konkordatu i gdyby potrafił uniknąć jakichkolwiek gwałtów wobec Kościoła w krajach okupowanych, nawet i w tym wypadku pokój między katolicyzmem i hitleryzmem nie byłby możliwy. W państwie hitlerowskim zbyt wiele było nieprawości. Nie mogło być pokoju z katolicyzmem w państwie, gdzie problem żydowski tak został postawiony, jak go postawiono w III Rzeszy. Mówimy tu o poniewierce i uciemiężeniu ludności żydowskiej, pomijając cały kompleks masakry milionów ludzi. Aby pokój z katolicyzmem był możliwy, nie może być w państwie tolerowana nieprawość.

Determinizmu fatalnej przeszłości nie przezwycięża się z dnia na dzień, naiwnością więc byłoby marzenie o stosunkach zupełnej sielanki moralnej na podłożu wytworzonym przez złą spuściznę przeszłości. Spuściznę pogańskiego ubóstwienia narodu i państwa, brutalnych zasad kapitalistycznej wolnej gry i wreszcie straszliwego moralnego spustoszenia systemów totalnych.

Postęp moralny jest napewno postępem najtrudniejszym i najpowolniejszym. Więc naiwnością byłoby żądanie rewolucyjnej przemiany z dnia na dzień. — Ale chodzi o zasadnicze założenia i zasadnicze metody życia zbiorowego. Chodzi o przyjęcie zasadniczych założeń chrześcijańskich i chodzi o wolę przeobrażania stosunków moralnych w państwie przez nakazy etyki chrześcijańskiej życiu zbiorowemu zakreślonym. I szczera wola ludzi odpowiedzialność za państwo ponoszących ma w tym wypadku znaczenie zasadniczego probierza.

Weszliśmy w rewolucyjnie nowy okres historii. W całej Europie środkowej i wschodniej Kościół Katolicki stanął wobec faktu sprawowania rządów przez obozy, które uprzednio dość wyraźnie akcentowały swój stosunek wrogi względem Kościoła i religii. Zrozumiałe jest, że sytuacja ta budzi zainteresowanie całego świata, nasuwając szereg poważnych znaków zapytania. I można powiedzieć, że sytuacja jeszcze się nie wyjaśniła. Stosunki układają się dość różnie. Widzimy przejawy krótkiego spięcia (Jugosławia) i mamy próby prowadzenia rozmów, badanie możliwości modus vivendi. Polska, jak dotąd, jest w tej sytuacji, że nadzieja pokojowego ułożenia współżycia nie została u nas przekreślona. Ze strony osób najbardziej miarodajnych padły słowa pełne rozumu i umiaru. Jest zupełnie oczywiste, że szerokie masy narodu żywią jak najgorętsze pragnienie pokoju religijnego w kraju. Ale w pełni podzielając te gorące pragnienia większości narodu, trudno by nie dostrzegać niebezpieczeństwa pewnych nieporozumień i uproszczeń. Chodzi o złudzenia formuły bismarkowskiej.

Rozwiązanie à la Bismark jest dziś rozwiązaniem zupełnie powierzchownym. A chodzi wszak o istotę rzeczy, a nie o pozory i fikcje. Pokój z katolicyzmem może być dzisiaj tylko pokojem u podstaw. Inaczej będzie fikcją, pokrywającą stan faktycznej walki. Fikcja niepotrzebna, bo osłaniająca i ukrywająca rzeczywisty obraz rozwoju stosunków. Pragniemy pokoju, ale pokoju naprawdę, a więc pokoju u podstaw. — **A pokój z katolicyzmem u podstaw, to respektowanie nakazów moralności chrześcijańskiej w zasadach i metodach życia publicznego.** Raz jeszcze: chodzi o zasadniczą wolę ludzi odpowiedzialność za państwo ponoszących, respektowania zasad etyki chrześcijańskiej i wolę przebudowy stosunków w myśl tych zasad. Klucz sytuacji stanowi podjęcie tej decyzji. Tu się przekracza Rubikon.

Gdzie decyzja taka jest, największe nieufności i najgorsze tradycje przeszłości zostaną prędko przezwyciężone, lecz gdzie jej brak, pozory poprawnego ułożenia stosunków nie dadzą się długo utrzymać. O sprawach tych mówić należy bez ogródek i sytuację przedstawiać w jej prawdziwym aspekcie.

Zapewnienie swobody działalności Kościołowi i zapewnienie warunków egzystencji jego różnym instytucjom, jest oczywiście sprawą pierwszorzędnego znaczenia. Ale nawet to nie wystarcza, by osiągnąć rzeczywisty pokój z katolicyzmem. Bo pokój ten nie jest możliwy, dopóki nie obowiązują i nie są szanowane w całym życiu społecznym podstawowe zasady moralne katolickiego współżycia. W kraju takim nie może być pokoju z katolicyzmem, choćby nie wiedzieć jak ponętne proponowano Kościołowi przywileje prawne i materialne. Dla katolicyzmu żywego i dynamicznego kompromisów tu być nie może. Pozory kompromisów musiałyby się prędko okazać złudną fikcją, popychając do koniecznoś starcia, choćby nawet nie było widoków walki zwycięskiej, a pozostawał tylko tragiczny gest protestu.

Upraszczać sprawy nie wolno, patrzeć należy szeroko i patrzeć dalekowzrocznie. Rozumieć trzeba skomplikowane warunki polityczno-społeczne po drugiej wojnie światowej i uwzględniać atmosferę fatalną propagandę demoralizacji. Brutalne i zbrodnicze nieraz metody podziemnej opozycji powodują odpowiedź nie metody retorsji, stwarzając przekleństwo błędnego koła, z którego nie łatwe jest wyjście. Trudności tych lekceważyć nie można. Ale powtarzamy raz jeszcze: chodzi o zasadniczą postawę i wolę respektowania zasad moralnych.

Naród polski słusznie się szczyci tradycjami, słusznie się szczyci tymi epizodami swojej historii, które wymownie świadczą o wierności ideałom moralnym z nauki chrześcijańskiej wypływającym. Wpływów w narodzie tym nie pozyska i miłości ani zaufania jego nie zdobędzie, kto tych najintymniejszych i najwznioślejszych strun duszy polskiej uszanować nie będzie umiał. Nie wystarcza mieć rację politycznie. Trzeba ją mieć także i moralnie.

Katolicyzm naprawdę dynamiczny i żywy, a więc katolicyzm autentyczny, nie łączy się z żadnymi tendencjami teokratycznymi, nie sięga po władzę polityczną, ani po przywileje materialne. Ale katolicyzm sprzeniewierzyłby się swej wielkiej misji historycznej w Polsce, gdyby imponderabiliów moralnych i wolności osobistych oraz praw obywatelskich człowieka z największą gorliwością bronić nie usiłował. Dlatego jedyna droga do porozumienia prowadzić musi z koniecznością przez respektowanie zasadniczych postulatów moralnych.

Pierwszym aktem państwowym nowo obranego Prezydenta było ułaskawienie płk. Rzepeckiego i wielu innych skazanych. Ten gest szlachetny Prezydenta wywołał głębokie uczucie ulgi u wszystkich ludzi dobrej woli w państwie.

Bez szerokich gestów wspaniałomyślności i pojednania nie wyjdzie się z błędnego koła i nie wytyczy się drogi do naprawy obyczajów w państwie.

Marian Jadlicz

(D. c. ze str. 1)

2) Wprowadzenie i przyjęcie przez rządzących, katolickich zasad moralnych w całe życie społeczne.

Dopóki warunki te nie zostaną spełnione, jedyną postawą, jaką katolicy polscy mogą przyjąć w stosunku do rządu, jest postawa zajęta w przemówieniu posła Frankowskiego.

Poseł Frankowski powiedział między innymi: droga do prawdziwego zjednoczenia wszystkich sił w narodzie prowadzi poprzez poszanowanie i respektowanie w życiu publicznym, społecznym i gospodarczym katolickich zasad. Jesteśmy przekonani, że zasada praworządności, zasada poszanowania praw jednostki i jej osobowości, zasada sprawiedliwości społecznej, katolicka koncepcja własności prywatnej i sposób użytkowania dochodów, płynących z faktu posiadania, to wszystko powinno nas łączyć, a nie dzielić".

„Premier oświadczył, że Rząd będzie dążył do należytego ułożenia stosunków z Kościołem. Przyjmujemy z zadowoleniem to oświadczenie do wiadomości. Jesteśmy przekonani, że mimo przejściowych trudności, dojdzie do zawarcia konkordatu.

Zawarcie konkordatu, to sprawa dłuższa, są sprawy, które wymagają natychmiastowego załatwienia — a dla katolików są one ważne.

Zwracam się z wnioskiem do Ministra Bezpieczeństwa, aby dopuścił kapelanów do więzień i obozów pracy".

„Zapytujemy, co zamierza Rząd uczynić, by wzmocnić wśród społeczeństwa poczucie praworządności i spowodować, aby podlegała mu administracja, przy rozstrzyganiu bieżących spraw, ważnych w życiu codziennym dla t. zw. „szarego obywatela", kierowała się jedynie i wyłącznie prawem, a nie poczuciem władzy, czy indywidualnie pojętym swobodnym uznaniem?

Co zamierza Rząd uczynić, aby ostatecznie określić podział na trzy sektory w naszym gospodarstwie: państwowym, spółdzielczy i prywatny, i dla tego ostatniego określić definitywnie nienaruszalne i zagwarantowane granice działalności i rozwoju?"

Te wyjątki z przemówienia posła Frankowskiego dostatecznie wyraźnie charakteryzują postawę trzech posłów katolickich w Sejmie, gdzie weszli nie po to, żeby się bawić w demonstracje opozycyjne, ale też i nie po to, aby żyrować z góry całą politykę Rządu.

Weszli tam, aby być obecni, aby wykonywać konkretne zadania i przygotowywać możliwość współodpowiedzialności za państwo przez katolików na określonych warunkach.

Od redakcji:

Prace nadsyłane do redakcji winne być pisane jednostronnie i na maszynie

W świecie...

UNIE CELNE UNIA CELNA

PRASA doniosła, iż między Wielką Brytanią a Belgią został zawarty układ, mocą którego obywatele tych państw mogą w obie strony podróżować bez wiz. Niedawno zawarta była analogiczna umowa między Wielką Brytanią a Francją.

Z Bukaresztu donoszą, iż Rumunia zamierza wystąpić z projektem unii celnej węgiersko - rumuńskiej, przewidując, iż do niej winna przyłączyć się Czechosłowacja.

Zniesienie barier wizowych i celnych należy witać z najwyższym aplauzem i z gorącym życzeniem, by możliwie prędko praktyka ta została zastosowana w całej Europie. W dobie takiego rozwoju komunikacji i gospodarki — paszporty, wizy i granice celne są — mówiąc delikatnie — conajmniej wsteczne.

PODPISY I DEMONSTRACJE

NA koniec, 10 lutego, nastąpiło złożenie podpisów na traktatach pokojowych między Narodami Zjednoczonymi a b. satelitami Osi. Uroczystość podpisywania była celebrowana z patosem. Tym większym zgrzytem odezwały się natychmiastowe zastrzeżenia, deklaracje i protesty, które — jako skargi na niesprawiedliwe potraktowanie — nastąpiły natychmiast po podpisaniu. Skarżą się narody zwycięskie (Jugosławia i Grecja), że ich żądaniom terytorialnym nie stało się w dostatecznym stopniu zadość. Skarżą się Włochy i Bułgaria, iż potraktowano je zbyt surowo i wszem wobec wykazują swe domniemane zasługi w walce z Niemcami, zapominając, że tak we Włoszech, jak w Bułgarii owe „zasługi" nastąpiły dopiero po wkroczeniu wojsk alianckich i były ostatnią deską ratunku, jakiej chwycono się, by nie pójść na dno morza z tonącą bezapelacyjnie Rzeszą. Traktaty nie są idealne, ale sceptycyzm je otaczający wydaje się być znakomitym prognostykiem dla długotrwałości i skuteczności. Tak się dzieje naogół, iż niedoskonałe kompromisy polityczne mają przeważnie dłuższy i owocniejszy żywot, niż układy kończące się zapewnieniami o ich wieczności. Traktat Wiedeński zapewnił światu dłuższy pokój, niż Traktat Wersalski, z całym niefrasobliwym przekonaniem o swej doskonałości. O ile jeszcze skłonni jesteśmy mieć wyrozumiałość dla utyskiwań (abstrahując od merytorycznej słuszności) obu państw pokonanych, choć zdaniem należy im wyraźnie określić hipotetyczność ich domniemanych zasług. O tyle skargi Grecji czy Jugosławii uważamy za zupełnie nie na miejscu i osądzamy jako podważanie rzetelnej pracy, dokonanej przez Wielką Czwórkę, pracy, której celem jest pokój, możliwie najdłuższy. Deklaracja Grecji i Jugosławii pokojowi napewno nie służą. Są szkodliwe, gdyż sprawy narodowe wysuwają przed dobro Europy, może świata. Szkodliwe, gdyż budowanie pokoju rozpoczynają od demonstracji i conajmniej gróźb, mających charakter szantażu, jakimi są owe zdania o zapalnych ogniskach.

PALESTYNA

ZNÓW konferencja londyńska w sprawie Palestyny nie dała rezultatu. Ani Arabi, ani Żydzi nie chcą iść na żadne ustępstwa. Wprawdzie są w jednym zgodni, że radzi byliby widzieć Palestynę bez Anglików, ale wątpić należy, oceniając ich dzisiejsze zacietrzewienie narodowe i wzajemną nienawiść — czy pokój zapanowałby w Palestynie? Czy dopiero wtedy nie wybuchła by rzeczywiście krwawa i fanatyczna wojna domowa. Tak dałngo, jak dwa te narody nie potrafią ułożyć swego pokojowego współżycia w imię nadrzędności pokoju nad partykularnymi interesami narodowymi — nie pomogą coraz to wymyślniejsze programy Bevina, nie pomoże stosowanie się do żadnej kolorowej księgi, czy umów o imigracyjne kwoty, nie pomoże nawet wniesienie sprawy przed forum ONZ. Albo jeden z tych narodów musi z Palestyny ustąpić, albo muszą się same pogodzić. Mediacje narodów trzecich będą bezskuteczne.

Kazimierz Koźniewski

VOX HISTORIAE

(Artykuł p. t. „Jeden świat" ciąg dalszy)

W nauce historii toczy się nieustanny spór o celowość i konsekwencję, czy bezcelowość i przypadkowość rozwoju ludzkości. Są wśród uczonych zwolennicy ewolucji świata, odbywającej się według pewnych określonych prawideł, są zdecydowani przeciwnicy tej teorii, posuwający się aż do paradoksalnych stwierdzeń, z których to o długości nosa pięknej Kleopatry jest bodajże najpopularniejsze. Przeciwnicy teorii o konsekwentnym rozwoju dziejów ziemi — dziejów politycznych, gospodarczych, kulturalnych — mają poza żarcikami szereg nader poważnych argumentów na swoją korzyść i bardzo trudno im odmówić słuszności. Wydaje się jednak, iż w dostatecznie już długiej historii człowieka i ludzi można dopatrzeć się pewnych konsekwetnych linii rozwojowych. Z góry jednak należy zaznaczyć, iż ograniczają się one tylko do najbardziej podstawowych i zasadniczych elementów ziemskiej egzystencji człowieka i są one powodowane rozwojem gospodarki społecznej oraz techniki od najprymitywniejszej do współczesnej i oczekiwanej. Gdy pobieżnie kartkuje się strony historii — to właściwie, prócz niewątpliwie konsekwentnego rozwoju gospodarki, od własno-zagrodowej do wszechświatowej, prócz równie konsekwentnego rozwoju techniki, od klinu i okrągłego kamienia do napędku rakietowego i operowania energią atomową — dostrzegamy jeszcze jeden, wyraźny i nie do zakwestionowania element, który rozwijał się stale i konsekwentnie.

Oczywiście jeżeli mówimy o pewnym konsekwentnym rozwoju — to nie znaczy to wcale, by rozwój ten odbywał się gładko i prosto, bez zahamowań, przerw, nawrotów i innych perturbacji dotkliwych dla współczesnych im pokoleń, lecz ginących i prostujących swą zasadniczą linię przy spoglądaniu z perspektywy długich dziesiątków wieków.

Elementem tym są formy ludzkiego, społecznego współżycia.

Najmniejszą komórką społeczną, jaką dostrzegamy w historii — jest rodzina. Jest to zasadnicza komórka ludzkości; jedyna, jaka z biologicznej konieczności przetrwała całe dotychczasowe dzieje. Rodzina złożona tylko z ojca, matki i dzieci, rychło musiała odczuć swą słabość i nieporadność wobec siły przyrody; rychło spostrzegła, iż brak jej odpowiedniej mocy, by skutecznie stawić czoło siłom natury, by zdobyć dostateczną ilość pożywienia, zabezpieczyć się przed zwierzęciem i kradzieżą. W najnaturalniejszy sposób powstały rody. Gromada ludzi produktywniej gospodarując swoimi siłami, umiejętnie rozdzielając pracę między siebie — osiąga wyższy poziom cywilizacji. Ta sprzyja z kolei powstawaniu większych potrzeb, które są zaspakajane wynalazczością ludzkiego umysłu. Nierównomierna płodność i nie jednaki spryt sprawiają, iż jedne rody stają się bogatsze, liczniejsze i silniejsze, inne — pozostają mniejsze i słabsze. Słabsze rody łączą się między sobą, dobrowolnie dołączają do silniejszych, lub będąc niewolone czy podbijane. Tak powoli powstają szczepy i plemiona.

W każdej z faz rozwojowych funkcja formy następnej była wobec form poprzednich całkującą. Chodzi, rzecz jasna, o struktury, a nie o poszczególne organizmy, o poszczególne rody, które w tym całkującym procesie mogły zostać wycięte w pień, wymrzeć, zaginąć. Większe, szersze formy — jak szczep, czy plemię — łączyły formy pierwotniejsze w większą całość, nie niszcząc, lecz zachowując. W większych formach mniejsze zachowały swe znaczenie i swą społeczną funkcję. W organizacji plemiennej zachowywały się rody i rodziny. Każda następna faza była nadbudówką poprzedniej, a nie jej zaprzeczeniem. Była poprzedniej logicznym i konsekwentnym rozwojem.

Szczepy i plemiona wytwarzały między sobą pewne wspólnoty kulturalne i polityczne, organizowały pewną hierarchię władzy wewnętrznej; — tak, że w rezultacie, po krótszym lub dłuższym okresie czasu, wytworzyły one organizm państwowy, skupiający naogół większą ilość szczepów, nawet plemion. Łączenie odbywało się dwoma metodami: mniej lub więcej dobrowolnej, czy przypadkowej unii oraz podbojem, siłą. Mimo, iż w trakcie tych unifikujących operacji wiele szczepów i plemion wyginęło bez śladu, rozpłynęło się wśród swych zdobywców, lub zostało wymordowanych — większość jednak, jako pewna ciągłość biologiczna i kulturalna, przetrwała często niebezpieczne dla nich czasy i w ramach państwa złożyła się na powstanie nowoczesnych narodów.

Procesy te nie odbywały się ani gładko, ani jednolicie. Poszczególne fazy trwały całe wieki. Ówczesna rozległość ziemi sprawiła, że kontynenty żyjąc w całkowitej od innych separacji, przechodziły samodzielne fazy rozwojowe, degenerowały się nawet i osiągnąwszy wysoki nawet stopień kultury, ginęły bezpowrotnie. W takiej naprzykład Europie narody tworzyły się właściwie dwukrotnie. Za pierwszym razem proces ten objął tylko małą część ludności europejskiej, zgrupowaną nad brzegiem Morza Śródziemnego. Garstka ta musiała ulec naporowi wielkich mas barbarzyńców, którzy już wprawdzie byli na niskim stopniu organizacji państwowej — daleko im jednak było do poczucia wspólnoty narodowej. Długie wieki minęły nim Europa, Ameryka i częściowo Azja ukształtowały się ostatecznie w nowoczesne narody. Proces ten odbywał się w czasach określanych, jako historia nowożytna, a swój finał przechodzi dopiero teraz, gdy poszczególne ludy kolonialne dojrzały i domagają się pełni praw narodowych. Powstaniom w Vietnamie i na Jawie zarzuca się, iż sprowokowane zostały przez filo-japońskich kolaboracjonistów, że kierują nimi japońscy agenci. Nieważne jest to jednak dla oceny istoty sprawy. Ważne — że jeśli powstania wybuchły i trwają, to tamtejsze ludy mają już dostatecznie wykształcone poczucie odrębności narodowej i dostateczny zapas woli niepodległościowej. Wydarzenia w Południowo-Wschodniej Azji mogą łatwo ogarnąć cały świat kolonialny azjatycki i afrykański, tym łatwiej, iż równocześnie dzieją się ważne dla sprawy samodzielności ludów kolonialnych wydarzenia w Indiach Brytyjskich i w całym świecie arabsko-mahometańskim. Jest wielką tragedią wszystkich narodów kolonialnych, że moment ostatecznego wykształcenia się ich narodowości przypadł akurat w czasie, gdy ziemia cała, dostatecznie już pomniejszona i ujednolicona, wchodzi w następną fazę ewolucji rozwojowej. Narody te, w tym stanie rzeczy, poprostu nie będą w stanie dostatecznie wyżyć swej narodowej suwerenności, a już świat czyha, i czyha wydaje się skutecznie, na jej ograniczenie. Tylko tym razem nie na rzecz odległego mocarstwa kolonialnego, lecz raczej międzynarodowej wspólnoty.

Forma nowoczesnych narodów trwałaby może bardzo długo. Tak długo, jak trwały fazy poprzednie, lub nawet dłużej. Gdyby nie rozwój techniki. On to sprawił, iż natychmiast po zakończeniu się jednego procesu kształtującego — a ściśle nawet przed jego całkowitym ogólnoświatowym zakończeniem — weszliśmy w fazę następną. Powstała już potrzeba łączenia się państw w jak największe organizacje polityczne, a więc i narody muszą zacząć łączyć się w jakieś **nad-narody**. Proces ten zresztą już rozpoczął się wszędzie tam, gdzie wiele narodów objętych jest jedną organizacją państwowo-polityczną w pierwszym rzędzie wspólnego języka; tak dzieje się w Kanadzie, do pewnego stopnia w Imperium Brytyjskim, w Rosji Radzieckiej.

Do tej pory obserwowaliśmy, jak pod wpływem konieczności walki o byt, o zachowanie gatunku, pod wpływem czynników psychicznych, gospodarczych i politycznych — grupy społeczne łączyły się między sobą w coraz to większe jednostki, w których jednak mniejsze nie zatracały swego charakteru. Prawo to — z wyjątkami potwierdzającymi regułę — jest słuszne, jak dotąd, w każdej chwili dziejów ludzkości. To daje nam podstawę do sądzenia, że w podobny sposób może ono działać i dalej. A więc, że pod wpływem czynników zewnętrznych, które teraz faktycznie i rewolucyjnie wystąpiły w roli współtwórców histori — narody muszą zacząć się łączyć między sobą w większe całości. Łączenie to będzie w swym pierwszym stadium — związkiem politycznym, być może bardzo luźnym, zacieśniającym się w miarę upływu czasu. Będzie to połączenie — nazwijmy je trafnym zwrotem, zaczerpniętym z fizyki — mechaniczne. Jeżeli taki polityczny związek okaże się dostatecznie doskonały — po paru pokoleniach winien powstać związek (znów użyjmy trafnego porównania) chemiczny. Złączone narody zaczną kształtować się w jakiś jeden „nad-naród". Sądzić należy, iż przy pozostawieniu zupełnie swobodnego rozwoju tej sprawie — utworzy się parę takich gigantycznych „nad-narodów", które dopiero drogą dalszej ewolucji pokojowej lub wojennej, uwarunkowanej dalszym rozwojem techniki, złączą się w jeden, światowy, nad-naród. Rzecz oczywista, dopiero utworzenie takiego światowego nad-narodu — bezapelacyjnie zapewni światu pokój. Nie znaczy to oczywiście, by powodowana rozsądkiem ludzkość, już wcześniej, nim się stopi w narodową jedność, nie osiągnęła takich porozumień i organizacji politycznych, które zapewniły by jej pokój.

Ponieważ omówiony pokrótce powyżej ciąg historycznego rozwoju — zatytułowany literackim zwrotem „vox historiae" — zbiegł się z postulatami rozwoju technicznego i gospodarczego — wolno nam mieć uzasadnione wrażenie, iż wytwarzanie się wielkich związków między-państwowych, a w dalszej konsekwencji związków organizmów nad-narodowych— będzie najbliższą kolejną fazą ewolucji form społecznego współżycia.

Rzecz oczywista, stoimy dopiero u progu tego typu formy współżycia. Mimo, iż glob związany już został mocnymi drutami komunikacji i handlu, mimo, iż od niedawna tworzy on już pewnego rodzaju jedność — to jednak długi jeszcze okres istnieć będą obok narodów już wiążących się w ponad-państwowe organizmy polityczne, narody stawiające dopiero pierwsze kroki swego suwerenego bytu. Technika i konieczności gospodarcze zrobią swoje, by rozpiętość ta była najkrótsza i najmniejsza, ale zdrowy rozsądek mężów stanu nie bez korzyści powinien interweniować w świadomym przystosowywaniu się narodów do generalnej linii rozwojowej.

Ci wszyscy, którzy wyczuwają linię rozwojową świata, którzy radzi są przygotowaniu ścieżek histori — muszą o jednym pamiętać. Faza nad-narodów nie może stać w sprzeczności z fazą poprzednią: narodów. Musi być jej harmonijnym przedłużeniem: nie może ona zaprzeczać narodom.

Forma narodu stała się, jak dotąd, najpełniejszym i najznakomitszym wyrazem ludzkiej społeczności. Świadomość narodowej jedności, silniejsza aniżeli świadomości klasowe, czy wspólnoty światopoglądowych przekonań — stała się dźwignią całego współczesnego świata oraz dobroczyną i płodną podstawą całego naszego rozwoju cywilizacyjnego i kulturalnego. Nacjonalizm (w najlepszym, a nie skrzywionym pojęciu tego słowa) zadecydował o naszej moralności, przenosząc i rozszerzając uczucia rodzinnej braterskości na milionowe masy ludzkie. Okazało się, iż czynna świadomość przynależności do narodu, wyrażająca się patriotyzmem, jest w czasach obecnych uczuciem najbardziej uspołeczniającym jednostkę. Wspólny język narodowy stał się nie tylko symbolem jedności, symbolem ojczyzny, ale też narzędziem najdoskonalszym twórczości kulturalnej. Próby lekceważenia narodowej wspólnoty i więzi, próby przechodzenia mimo niej, lub też wręcz jej zapoznawania, czy jej zwalczania, skończyły się tak w teorii, jak w praktyce kompletnym fiaskiem. Naród pozostał ciągle jeszcze najistotniejszą więzią społeczną. Więź ta zdała egzamin swej wszechludzkiej przydatności oraz poży-

(Dokończenie na str. 6-ej)

Tydzień kulturalny

HOŁD POLEGŁEMU

TEATR Kameralny Domu Żołnierza w Łodzi wystawia obecnie sztukę Tadeusza Gaycy (Karola Topornickiego), p. t. „Homer i Orchidea", której prapremiera odbyła się w teatrze Iwo Galla w Gdyni.

Gaycy był czwartym i ostatnim redaktorem „Sztuki i Narodu", podchorążym AK, poległym na Starówce w sierpniu 1944 r. Dramat ten, aczkolwiek scenicznie dość wątły, ukazując nam próbkę wielkiego niepospolitego talentu przedwcześnie zgasłego autora. Bo Gaycy miał lat 22, kiedy napisał tę sztukę, poległy w niespełna rok później, nie mając możności dojrzenia jako artysta. Ale to, co zostawił w spuściźnie, świadczy o talencie nieprzeciętnym.

Czy nie znajdzie się wydawca, który odważy się wydać zbiór jego poezji? Wychodzi tyle licznych wierszy i choć może ze względów czysto merkantylnych nie opłaca się wydawać utwory zmarłych, to zapewne istnieje Fundusz Kultury Narodowej, który udostępni odpowiednią subwencję. Będzie to nie tylko hołdem dla poległego na polu chwały poety, lecz cennym wkładem w historię naszej literatury okresu Podziemia.

ZWIĄZEK LITERATÓW I ZWIĄZEK SAMOPOMOCY CHŁOPSKIEJ

ZNAJDUJEMY się w przededniu sezonu budowlanego. Będzie to dla Warszawy już trzeci powojenny sezon budowlany. I znowu nic nie słychać o budowie domu mieszkalnego dla pisarzy. A pracują oni w stolicy w niesłychanie trudnych warunkach, tracą wiele czasu na zbyteczne podróże, szczególniej jeśli wziąć pod uwagę, że wielu z nich mieszka poza miastem. Mają takie domy literaci Łodzi, Krakowa czy Poznania, a władcy Warszawy, desygnowanej nieomal z urzędu do roli centrum kultury polskiej, nie zdołali do tej pory przeznaczyć ani jednego pokoju, choćby tylko na biuro zarządu Oddziału Warszawskiego.

Sprawę tę trzeba postawić jasno i wyraźnie: dłużej zwlekać nie wolno! Literaci warszawscy muszą mieć mieszkania, nie mogą tułać się i wycierać cudzych kątów. Nie chodzi tu przecież o żadne zbytki czy luksusy, lecz o zapewnienie najprymitywniejszych warunków dla twórczości. Wydaje się nam, że nie dość energicznie działa w tej sprawie zarząd Oddziału Warszawskiego ZZLP. Bo przecież inne instytucje zdobywają jakoś domy nie tylko na pomieszczenia biurowe, lecz także i na mieszkania dla pracowników, choćby nawet kosztem ograniczenia lokali biurowych.

I tak np. Związek Samopomocy Chłopskiej, instancja niewątpliwie ważna, przeniósł swoje biura z Al. Przyjaciół na plac Starynkiewcza, a swe uprzednie urzędowe locum zamienił w... luksusową przystań mieszkalną dla swych urzędników. Czyżby literaci w hierarchii społecznej mieli być mniej ważni od pracowników ZSCh, którzy posiadają własny dom mieszkalny? Coś tu nie jest zupełnie w porządku!

Bijemy raz jeszcze na alarm!

Idzie już trzecia wiosna, zbliża się sezon budowlany. Czy i w tym sezonie nikt nie pomyśli o pisarzach stolicy?

POD NIEBEM ALBIONU

UKAZAŁA się w Anglii nakładem The Willow Press w przekładzie Ellen Arthurton książka Michała Choromańskiego „Zazdrość i medycyna" życzliwie przyjęta przez krytykę angielską. Książkę wydano starannie, przekład jest wysokiej klasy — słowem jest to jedna z tych książek, których wydanie w języku obcym stanowi doskonałą propagandę polskiej literatury i śmiało może konkurować z t. zw. klasą międzynarodową.

Poza przekładem Choromańskiego następnym dziełem, przyswojonym na angielski, będzie dramat Nowaczyńskiego „Cezar i człowiek", który ma być wystawiony niebawem przez jeden z teatrów Londynu.

Stanisław Rembek

Wyrok na Fran

WRESZCIE zdecydował się. Ruszył do stojącego zdala od ulicy brunatnego domku parterowego. Mieszkał tam sąsiad Bała, o którym Kłos wiedział, że trudni się pędzeniem samogonu. Otworzył sobie furtkę z haczyka, obszedł chałupę od tyłu i wlazł wprost do izby, gdzie właśnie Bała i jego żona przecedzali mętną ciecz, lejąc ją z kubła do gąsiorów poprzez czarny rękaw. Na widok Kłosa oboje struchleli i stali się nieruchomi i bladzi z półotwartymi ustami. Pierwsza oprzytomniała Balina.

— Józia! — wrzasnęła przeraźliwie.

Młoda panienka w granatowej sukience wbiegła z drugiej izby.

— Czego?

— Na, masz. Potrzymaj to.

Wetknęła jej drut od rękawa, a sama wytarła ręce w fartuch, podeszła do oszklonej szafki, wyciągnęła spod talerzy banknot pięćsetzłotowy i położyła przed Kłosem na stoliku.

Ten przyglądał się papierkowi z opuszczoną głową i w głębokiej zadumie.

— Zabierzcie sobie tego górala! — powiedział wreszcie ostro.

Wydobył rewolwer i rzucił go na stół. Potem cisnął na niego czapkę. Wreszcie opadł ciężko na krzesło obok opuszczając na piersi czarny nieogolony podbródek.

Wtedy Bała postawił na ziemi kubeł z niedogonem, który trzymał był w ręku i podszedł doń zgięty w ukłonie, zacierając ręce.

— A co pan Franuś uważa?

Kłos spojrzał nań spodełba.

— Wódki!

XV.

Gdzie i ile pił, kiedy i w jaki sposób trafił do domu, tego Kłos żadną miarą nie mógł sobie przypomnieć. Gdy się jednak obudził, dzień był zupełnie jasny i słoneczny. Z całkowitej ciszy, jaka go otaczała, wnioskował, że znajdował się w domu sam jeden. Mimo oprócz tego przekonanie, że spał bardzo krótko: może godzinę, a może i jeszcze mniej. Łaskotliwy ból wszystkich nerwów wzmógł się bowiem jeszcze i stawał całkowicie już nie do wytrzymania. Umiejscowił się on jak zwykle w rękach i w nogach, ale oprócz tego i to najbardziej w oczach, które dokuczały mu tak strasznie, że musiał wytężać całą siłę woli, żeby ich sobie nie wydrapać. Wysiłki te stawały się coraz trudniejsze.

— Gdzie ta Lodzia? Jeśli nie wróci zaraz, to zrobię sobie coś strasznego. Chryste, ratuj mnie! Chryste, wspomóż mnie!

Spojrzał w okno. Może zobaczy żonę powracającą z miasta. Na bezchmurnym niebie ujrzał cień, jakby samolot. Ale był to samolot niewidzianego kształtu, czarny i przezroczysty jak welon żałobny. Sunął bez najlżejszego szmeru, dziwnie wolno i wprost w okno. Oto już jest w oknie... Oto przesuwa się przez nie i płynie pod sufitem tuż nad jego łóżko.

Spostrzegł, że nie jest to samolot, tylko olbrzymi nietoperz o głowie ludzkiej, ohydnej i groźnej.

— Diabeł!

Zmartwiał z przerażenia, ale nietoperz na szczęście wsiąka w ścianę ponad nim. Natomiast widzi teraz, że przez pokój obok łóżka przechodzi nagi mężczyzna atletycznej budowy, o nader niskim czole, przyglądając mu się z niezmierną uwagą, jakby chciał sobie zapamiętać jego rysy. Jest on również najwidoczniej jakimś złym duchem. Tak przynajmniej można sądzić z przejrzystości jego ciała.

W Kłosie obudził się instynkt walki. Ostrożnym ruchem pod kołdrą sięga po rewolwer, który trzyma przy sobie wetknięty pomiędzy materac a bok drewnianego łoża. Zanim zdołał go schwycić, widziadło znikło. W tej chwili jednak spostrzegł, że pod drzwiami stoją cztery jakieś poczwary w jednym szeregu. Były to małe potworki, o cienkich rękach i powykrzywianych nogach, dźwigających wzdęte brzuchy. Miały śpiczaste głowy, wielkie odstające uszy i grymasy idiotów na twarzach. Przypatrywały mu się wielkimi okrągłymi oczami z jakąś tępą ciekawością krów, pasących się na pastwisku. Kłos przypatrywał im się równie uważnie. Nigdy w życiu nie widział, nie wyobrażał sobie, nie przeczuwał nawet, że mogą istnieć podobne kształty. A jednak niewątpliwie istniały i stały tam o parę kroków od niego. Przekonał się więc niezbicie, że obok ludzi żyją na ziemi gromady duchów, dostrzegalnych dla człowieka tylko w wyjątkowych wypadkach.

Nie było w ich widoku nic groźnego, ale były za to tak ohydne, że Kłos ciągle myślał, żeby wydrapać sobie oczy, byle tylko na nie nie patrzeć. Naraz wpadła mu inna myśl do głowy. Zerwał się z łóżka.

— Precz stąd!

Równocześnie zaczął strzelać, aż w uszach mu zadzwoniło, i ostra woń prochu napełniła izbę.

Widziadła znikły. A więc był na nie sposób. Postanowił więc strzelać, jak tylko się ukażą ponownie, zanim jeszcze zdąży uświadomić sobie ich ohydę.

Obrócił się ku oknu. Tłoczyły się tam po prostu najdziwaczniejsze twarze. Jakiś stwór bez czoła, podobny nieco do goryla, z maleńkim noskiem jak u kota i z wilczymi śpiczastymi uszami usiłował przedostać się przez szybę do pokoju. Kłos znowu zaczął strzelać. Rozległ się hałaśliwy lament wypadających szyb, a potem znowu zadzwoniła cisza. Ale w oknie nie było już nikogo. Widziadła bały się jednak strzałów.

Kłos odetchnął głęboko, jak po ciężkiej pracy.

W sieni rozległy się odgłosy otwieranych i zamykanych drzwi, pośpieszne i pomieszane głosy...

„Ludzie... Dobrze niech przyjdą. Niech zobaczę jakieś twarze oprócz tych mord idiotycznych i ohydnych...".

Tymczasem rozmowy i trzaskanie drzwiami potrwały jakiś czas, a potem znowu nastała cisza.

Kłos rzucił okiem na pułap. Zdążył tylko dostrzec kilka par oczu, wpatrzonych weń w matołkowatym osłupieniu i zaczął strzelać raz po raz.

Naraz dostrzegł jakiś kształt na podłodze, pełznący w jego kierunku. Chciał znowu wystrzelić, ale nie było już naboju w lufie. Cisnął więc rewolwerem. Ale w tej chwili izba napełniła się poczwarami, które widocznie poznały, że jest rozbrojony. Zaczął więc miotać się we wszystkie strony, ciskając w nie, co było pod ręką: wazonami, doniczkami, krzesełkami, nawet obrazami, które zrywał ze ścian.

Wyskoczył do kuchni i znalazł tam siekierę. Teraz znowu był uzbrojony. Machał nią we wszystkie strony, a zwłaszcza tłukł w okna, którymi ciągle usiłowały się przedostać wstrętne postacie. Pomny, jak bały się one strzałów, a zarazem dla dodania sobie odwagi, ryczał ciągle najpotężniejszym głosem, na jaki potrafił się zdobyć:

— Wynoście się do cholery! Precz ode mnie, psiakrew! Bo was tu wszystkich porąbię!

Ale straszydła również nabierały tupetu. Może też rozwścieczyło je zachowanie Kłosa. Próbowały go atakować, wyciągając ręce o długich szponach. Kłos zmęczył się wreszcie tak strasznie, że padł na łóżko twarzą do poduszki, zakrywając jeszcze oczy dłońmi.

„Niech się dzieje, co chce!".

Gdy się obudził z twardego snu, otaczała go ciemność. Nie czuł już żadnej trwogi i żadnego niepokoju oprócz zupełnego wyczerpania oraz niezmiernego przygnębienia, jakiego jeszcze nigdy w życiu dotychczas nie odczuwał. Usiadł na łóżku i zaczął rozmyślać nad swoim położeniem. Nie ulegało wątpliwości, że z niezgłębionych przyczyn znalazł się za życia jeszcze w okropnym świecie duchów, o których istnieniu nie miał dotychczas pojęcia. Nigdy przecie nie słyszał o niczym podobnym, nie przeczuwał nawet, że wokół niego mogą kręcić się jakieś niewidzialne istoty. Jeżeli chodziło o inne sprawy, to nie wątpił, że po zajściu ze Schwickiem jego służba w policji skończyła się. Cóż więc mu pozostało?... Śmierć.

Zdecydował się na nią odrazu. Szukając długo po podłodze znalazł wreszcie rewolwer, a potem ładunki.

Nabijając broń rozmyślał w dalszym ciągu. Dobrze, zastrzeli się. Ale co się stanie po jego śmierci z Lodzią i z dziećmi? Stracą jedynego żywiciela. Ale nie tylko to. Przecię ci bandyci, którzy przysłali mu wyrok śmierci, nie pozostawią ich w spokoju. Jakież życie czeka ich w tym przeklętym kraju? Musi więc zabić ich także.

To przekonanie napełniło go takim żalem i rozpaczą, że długi czas siedział na łóżku, płacząc.

Wreszcie zdecydował się. Namacał kontakt i przekręcił światło. Pokój był zrujnowany zupełnie. Cała podłoga zasłana była drzazgami, skorupami, ziemią z doniczek, poszarpanymi strzępami płócien z obrazów. Czarna zasłona w oknie falowała od powietrza, ciągnącego przez wybite szyby.

Kłos podszedł do drzwi i nacisnął klamkę. Kuchnia była zamknięta. Zapukał więc, wołając:

— Lodzia, otwórz!

Za drzwiami słychać było trwożne szepty.

— Lodzia, słyszysz? Masz mi otworzyć!

Znowu szepty i lekki trzask przekręcanego kontaktu.

— Lodzia!

Kołatał coraz silniej ze wzrastającym gniewem, ale bez skutku. Rozejrzał się i zobaczył siekierę. Chwycił ją w prawicę, przełożywszy broń do lewej ręki.

— Lodzia, do cholery! Otwierasz, czy nie?

Szepty, szepty...

— Lodzia, bo drzwi wyrąbię!

Tu zaczął walić siekierą z coraz wzrastającą wściekłością, raz koło razu.

Klucz zazgrzytał w zamku, i drzwi rozwarły się niespodzianie. Stała w nich jego żona w koszuli, nieustraszona, zasłaniając sobą łóżko, na którym siedziały w kuczki jego przerażone dzieci: dwunastoletni Józio i dziewięcioletnia Tereska.

— Franek, co ty wyrabiasz?

Kłosa złość opuściła w jednej chwili. Odrzucił siekierę i usiadł zadyszany na skrzynce od węgla obok pieca kuchenne-

A BYŁO TO TAK...

Lato 1931 r. W Słonimie, gdzie przez kilka dni uczyłem młodzież śpiewu liturgicznego, a zwłaszcza gregoriańskiego, wsiadłem do pociągu, aby powrócić do Warszawy. Zajmuję miejsce prawie w pustym przedziale, w którym przy oknie siedzi vis à vis siebie dwoje młodych ludzi. Ze słów, jakimi się przerzucali, domyśliłem się łatwo, że małżeństwo to młode należy do środowiska wybitnie inteligentnego. Rozmawiali po francusku. Obecność ludzi inteligentnych, choć obcych, jest bodźcem do skupienia, a dla wielu do twórczego myślenia. I mnie słuchającego ich rozmowy ogarnia skupienie. Odczuwam potrzebę modlitwy. Biorę brewiarz do ręki, a przeszedłszy psalmy w jutrzni, pogrążam się w przedziwną homilię św. Augustyna. Na tle rytmu kół, słów dwojga ludzi szczęśliwych, mijanych łąk, pól i gajów, św. Augustyn jest niezastąpionym towarzyszem osobliwie dla tych, co niezależnie od samochodu, wozu, czy kolei, czują, że żyjąc na ziemi, są „w drodze". Brewiarz nie jest ani epiczny, ani liryczny, ani dramatyczny, a to, co daje, jest tak pełne czaru, że z biegiem czasu dystansuje wszystkie inne książki, któreśmy największym zaufaiem darzyli. Dla pielgrzymów, idących stąd — tam — lepszej książki jak brewiarz nie znajdzie.

Gdym tak posilił się ową księgą, zapragnąłem poobcować z jakimś współczesnym mistrzem katolickiej myśli. Kogo tu wybrać? W mej walizce podróżnej mam Leona Bloya, mam z sobą i Maritain'a. Sięgam więc do walizki, a wyjąwszy stamtąd Art et Scolastique — Maritain'a, zaczynam czytać dedykację: Dilectae Gertrudi Raisseae meae, a pośrodku łamymi literami: Domidium animae dimidium operis effecit. I kiedy zamyśliłem się nad treścią tych słów ostatnich, przy oknie zrobił się jakiś ruch; podnoszę głowę i widzę, jak młody mąż wstaje, sięga ręką do swej walizy, dostaje z niej jakąś książkę i zaczyna ją tak czytać, abym ja mógł przeczytać jej zewnętrzny tytuł. Wzbieram ciekawością i czytam: Religion et culture par Jacques Maritain. Spojrzałem mu w oczy, on w moje i uśmiechnęliśmy się sobie przyjaźnie. Po chwili mówi do mnie po francusku: Jakto tu, w tych pustych stronach, na odludziu, jest ktoś, kto ma Maritain'a w ręku? A ja mu na to z niemniejszym zdziwieniem: A Pan, człowiek świecki, odkąd interesuje się Maritainem? Co Pana do niego tak pociąga?

Młodzi popatrzyli na siebie z uśmiechem, po chwili młody człowiek tak mówi: — Co za szczególne spotkanie! Na tym odludziu spotkać księdza z Maritain'em

ciszka Kłosa (11)

go. Jego żona nie spuszczała go z oka, ciągle zasłaniając sobą dzieci.

— Powiedz mi, Franuś, co się z tobą dzieje?

Oprzytomniał. Szybko wyrwał klucz ze drzwi, prowadzących do sieni, potem przełożył rewolwer do prawej dłoni.

— Słuchaj, Lodzia, nie wiesz jeszcze, że wylali mnie z policji. Zostaliśmy bez chleba. Oprócz tego mam przecie wyrok śmierci. Nie ma już dla mnie wyjścia. Muszę się zastrzelić.

— Franuś, co ty wygadujesz? Miejże Boga w sercu!

— Nie ma dla mnie ratunku, ani w tym życiu, ani w przyszłym. Naokoło mnie krążą całe zgraje diabłów. Widziałem ich na własne oczy.

— Franuś, co ty wygadujesz? Przecie Pan Bóg jest miłosierny i przebacza nawet największym grzesznikom. Możesz się jeszcze wyspowiadać, żałować za grzechy, pokutować...

— Nie ma dla mnie miłosierdzia, ani zbawienia. Muszę się zastrzelić. Ale nie chcę was zostawić na poniewierkę. Musicie zginąć razem ze mną.

Żona patrzyła nań, jakby nie rozumiejąc.

— Co ty gadasz, Franuś? Tyleś ludzi namordował i jeszcze chcesz zamordować własne dzieci?

— Nie zostawię ich sierotami w tym podłym kraju, gdzie wszyscy będą im wytykali pamięć ich ojca.

— Ależ, Franuś, przecie może zaopiekować się nimi twoja matka, albo mogą wyjechać do mojego ojca, gdzie nikt o tobie nie słyszał.

— Nie chcę niczego zawdzięczać temu staremu draniowi. Nic już nie pomoże: dziś moja śmierć i wasza.

Dzieci, które zrozumiały już, o co chodzi, powyskakiwały z łóżek i w największym przerażeniu zaczęły tulić się do nóg ojca w trykotowych obcisłych gaciach, płacząc głośno i powtarzając w kółko:

— Tatusiu... Tatusiu... Tatusiu...

Matka padła na kolana obok nich.

— Franuś, zaklinam cię na wszystko, co najświętsze, jeśli już koniecznie chcesz mnie zabić, to zabij, ale nie morduj niewinnych dzieci. Nie bierz tej krwi z sobą na straszny sąd Boski. Jeżeli nie litujesz się nad nimi, to ulituj się chociaż nad sobą, nad swoją duszą nieśmiertelną.

Kłos siedział ze zwieszoną głową, celując w żonę z rewolweru.

— Nie może być. Musicie dzisiaj wszyscy umrzeć razem ze mną. Nie zostawię was samych na tym podłym świecie.

Tu zaczął płakać i szlochać, opuszczając głowę coraz niżej. Żona skorzystała z tego natychmiast. Klęcząc objęła go rękami wpół i nieprzestawała błagać.

— Franuś, posłuchaj mnie ostatni raz. Pójdziemy razem do spowiedzi, potem do komunii. Zobaczysz, że jeśli wspólnie pomodlimy się w stanie łaski, to jeszcze Pan Jezus i Matka Boska wszystko odmieni.

— Dla mnie nie ma miłosierdzia. Nie dostanę nawet rozgrzeszenia.

— Zobaczysz, że dostaniesz. Miłosierdzie Boskie jest bez granic. Chrystus przebaczył nawet łotrowi na krzyżu, a Longinus, który mu bok przebił włócznią, został nawet świętym.

— Ale ci dranie mi nie przebaczą.

— Jacy dranie?

— Ci z polskich band.

— Zobaczysz, że Matka Najświętsza, Królowa Korony Polskiej, wszystko jeszcze odmieni. Tylko prześpij się jeszcze trochę, żebyś nabrał sił. No, chodź do łóżka!

Ostrożnie wyjęła mu z garści rewolwer, który oddał bez oporu, i poprowadziła zapłakanego na posłanie. Spojrzawszy na zrujnowany pokój, powiedziała mimochodem:

— Ja tu wszystko posprzątam.

Kłos dał się położyć jak dziecko, przytrzymywał tylko rękę żony.

— Nie odchodź!

— Dobrze, Franuś, nie odejdę, aż póki nie zaśniesz.

— A moja matka rodzona wygnała mnie precz, na śmierć — zaszlochał.

— Cicho, Franuś, cicho! Jak wróci łaska Boża, wszystko się jeszcze odmieni. Zobaczysz.

XVI.

Skoro tylko zaświtało, Kłos zerwał się z łóżka, przy pomocy żony wyszorował się dokładnie, wdział czystą bieliznę oraz nowy mundur i wraz z nią udał się do kościoła trzeźwy, czczy, ale spokojny.

Jeszcze nie zaczęła się pierwsza msza, którą miał odprawiać wikary, ale proboszcz siedział już w konfesjonale i spowiadał jakąś babinę. Kłos ukląkł z drugiej strony. Serce mu łomotało w piersiach, jak zasypany w schronie człowiek, który kilofem wybija sobie wyjście na świat. Wreszcie proboszcz przeżegnał spowiadającą się, zapukał i zwrócił się do niego.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — powiedział Kłos głosem tak zdławionym, że ksiądz nie zrozumiał i zapytał:

— Co mówisz?

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — powtórzył Kłos śmielej i wyraźniej.

— Na wieki wieków. Amen — odpowiedział proboszcz pośpiesznie, dając babie do pocałowania stułę, którą potem zakrył sobie twarz. — Słucham.

Kłos wyraźnym a pełnym przejęcia szeptem zaczął wyliczać swoje zbrodnie: zdrodę ojczyzny, mordowanie mężczyzn, kobiet i dzieci, pijaństwo, bluźnierstwa, postanowienie odebrania sobie życia, swojej żonie i dzieciom. Co chwila zatrzymywał się, oczekując odruchu grozy ze strony spowiednika, ale ten tylko szeptał:

— Mów. Mów dalej.

Kłos mówił więc coraz bardziej ogłupiały. Wreszcie skończył i westchnął głęboko, dokonawszy tego wysiłku samooskarżenia.

— To wszystko?

— Tak jest, proszę ojca duchownego.

— A czyś nie zmieniał nigdy wiary, nie wątpiłeś w istnienie Boga i w to wszystko, w co kościół wierzyć nakazuje?

— Wątpiłem.

— Ile razy?

— Przypominam sobie tylko ostatni raz dzisiaj.

— A czyś nie przysięgał się bez potrzeby, albo co gorzej fałszywie? Czyś nie wymawiał Imienia Boskiego w żartach, czy z lekceważeniem? I ile razy to się mogło zdarzyć?

Kłos nie wiedział, czy ksiądz kpi sobie z niego, czy też może nie dosłyszał jego poprzedniej spowiedzi. Odpowiadał więc machinalnie, czując, że poci się coraz bardziej.

— Czyś nie opuszczał mszy świętej w niedziele i święta, albo pacierzy codziennych? Czyś nie łamał postów, przez kościół nakazanych? Ile razy tak być mogło? — dopytywał się nielitościwie proboszcz grubym półgłosem.

Kłosa oświeciła nagła myśl: „Ksiądz zauważył, kim jestem, i obawia się, że ta spowiedź, to może być z mojej strony tylko prowokacja". Myśl ta była tak przykra, że ledwie się powstrzymał, żeby nie wstać i nie odejść od konfesjonału. Wytrwał jednak.

Tymczasem proboszcz skończył wreszcie osobliwe śledztwo i zaczął swoim zwyczajem chrząkać:

— Hm... hm... mój synu... hm... rzeczywiście jesteś wielkim grzesznikiem, ale nie powinieneś tracić nadziei w miłosierdzie Boże, bo to jest najcięższy grzech przeciwko Duchowi Świętemu, tak jak i rozpaczać o swoim zbawieniu. Za te grzechy nie ma już przebaczenia. Chrystus Pan przebaczył nawet oprawcom, którzy go zamęczyli na śmierć, a Longinusa, który mu bok przebił włócznią, dopuścić raczył do swojej chwały, jako świętego. (Tu Kłos połapał się, skąd jego żona wiedziała o świętym Longinusie). Hm... Wszystko zależy tylko od skruchy i od pokuty. Ale widzisz, moje dziecko, czy ty, hm... dostatecznie zdajesz sobie sprawę ze swoich grzechów? Czy orientujesz się, że w tym kraju... hm... w tej przecie twojej własnej ojczyźnie, tak ciężko dotkniętej przez tę okrutną wojnę, tyś stał się szerzycielem klęsk, nieszczęść i śmierci?

— Ja przecie głównie Żydów zabijałem.

— Głównie Żydów... Hm... hm... Spowiadałeś się przecie, żeś zabił tego więźnia... hm... i te dwie nieszczęśliwe kobiety... Ale nie o to zupełnie chodzi. Pan Bóg powiedział: nie zabijaj. Nie zabijaj nikogo. Nawet wroga. A Pan nasz, Jezus Chrystus, dodał jeszcze do tego mocą swego posłannictwa: „Miłujcie nieprzyjaciół wasze. Czyńcie dobrze tym, którzy was nienawidzą". Nawet więc gdybyś uważał Żydów za swoich nieprzyjaciół, to jako chrześcijanin, nie powinien byś czynić im żadnej krzywdy.

— Ale oni są przecież nieprzyjaciółmi nie tylko moimi, ale też wszystkich chrześcijan i nawet samego Pana Jezusa!

— Widzisz... hm... mój synu, Pan Jezus sam pochodził z tego narodu, tak jak Matka Najświętsza i wszyscy apostołowie. Nigdy więc nie można potępiać całego plemienia. A zresztą... hm... Pan Jezus miłował ten swój naród, jako człowiek. Nie słyszałeś, jak płakał nad Jerozolimą, przewidując jej upadek?...

Kłos był coraz bardziej zdumiony.

— Więc ksiądz mi radzi, tak jak moja żona, żebym porzucił służbę w policji?

— Nic ci, moje dziecko, poradzić nie mogę. W każdym zawodzie można być zbawionym. Święty Sebastian, święty Ekspedyt, święty Florian, święty Jerzy byli przecież żołnierzami. Trzeba tylko pełnić przykazania Boże, a zwłaszcza to najważniesze: miłości Boga i bliźniego. Pewnie... hm... że jeśliby cię ta służba miała przywodzić do złego... Należy... hm... zawsze unikać okazji do grzechu...

Kłos zamyślił się ponuro.

— Więc mam kochać nawet tych, którzy przysłali mi wyrok śmierci i teraz dybią na moje życie.

— Powinieneś, jeśli sam chcesz dostąpić odpuszczenia grzechów. Przecie mówisz zawsze przy pacierzu: „I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom". Przebaczasz więc?

Kłos milczał z czołem, opartym o konfesjonał.

(D. c. n.)

---

w ręku, z tym Maritain'em, na którego zaproszenie właśnie jedziemy z żoną moją, aby z nim spędzić wakacje w jego willi pod Paryżem w Meudon. Boć Jacques Maritain i jego żona Raissa, toć to nasi prawdziwi przyjaciele. No, wiecie, co za spotkanie!

Rozmowa odrazu wezbrała życiem. Okazało się, że ów młody człowiek, to Mikołaj Nabokow, kompozytor, mieszkający w Paryżu; obydwoje z żoną wracają właśnie z majątku rodziców jego żony do Francji. Wspólne tematy tak nas ożywiły, żeśmy zapomnieli o samej podróży, o tym, czy pociąg stoi, czy idzie, czy jest pogoda, czy deszcz, czy stacja taka, czy inna. Przed chwilą tacy obcy, a teraz tyloma wspólnotami zbliżeni. Mówiliśmy więc o wielkim wpływie Leona Bloy, o jego integralności katolickiej, jako pisarza, o jego chrzestnym synu J. Maritainie, o ks. Jakubisiaku, któremu został poświęcony ostatni tom Leona Bloy: La Porte des Humbles, o Benedyktynach w Solesmes i ich zasługach dla Kościoła w dziedzinie liturgii, a osobliwie śpiewu gregoriańskiego, o muzyce francuskiej i polskiej, o Szymanowskim, o filharmonii warszawskiej i Grzegorzu Fitelbergu, który wykonywał orkiestrowe utwory Nabokowa, o stanie religijnym Rosjan na emigracji, o przyszłości Kościoła w Rosji i t. d. A gdyśmy tak zajęci byli rozmową o sztuce, ludziach i rzeczach, aniśmy się spostrzegli, kiedy znaleźliśmy się w Warszawie. Przy pożegnaniu p. Nabokow ofiarował mi jedną ze swych pieśni, dał mi swój adres i zapraszał do siebie do Paryża. Kiedy pociąg stanął wyszliśmy razem.

Minęło od naszego spotkania dwa tygodnie. Pewnego dnia przychodzę do domu, na stole moim leży poczta. Zainteresowała mnie przesyłka z Francji, myślałem, że to będzie coś z Solesmes. Ale jakież było moje radosne zdziwienie, kiedy otwarłszy do środka, wyjmuję z opakowania dwie książki: Le docteur angelique oraz Religion et Culture. Obydwie z dedykacją od J. Maritain'a! Dedykacja pierwszej brzmi: Au père Henryk Nowacki respectueux et cordial hommage de Jacques Maritain, a dedykacja drugiej: bien sympathiquement, Jacques Maritain.

Książki te z cennymi autografami przetrwały najazdy i frontowe boje. Zdobią one moją skromną biblioteczkę i przypominają mi czasy tak niedawne, a tak odległe, pracy szerzenia Królestwa Bożego przez śpiew gregoriański, która w ten sposób niespodziewany zetknęła mię z jednym z największych i najlepszych synów Kościoła.

X. H. N.

Tydzień kulturalny

DZIWNA HISTORIA.

OSTATNIO prześwietny Zarząd Miejski w Warszawie odmówił kart żywnościowych członkom Związku Zawodowego Muzyków, którzy nie mogą się wykazać dowodem stałego zatrudnienia. Sprawa wygląda bardzo dziwnie. Wiadomo, że większość członków Związku pracuje dorywczo. Ale ostatecznie stale nie są zatrudnieni członkowie żadnego związku artystycznego. Na tym polega istota ich zawodu. Więc dlaczego odbiera się karty muzykom? Czyż by to miał być tylko początek?

Także Polskie Radio nie udziela ulg w abonamencie członkom Związku Zawodowego Muzyków, którzy nie posiadają stałego zatrudnienia. Jeszcze lepiej! Prawdopodobnie chodzi o to, aby wreszcie przestali być muzykami.. Bo jeśli stracą kontakt z jedyną dostępną dla nich for. zostaną — urzędnikami w magistracie...

WAŻNE A NIEPOPULARNE

W KRĘGU spraw, powiązanych ze szkolnictwem wyższym, jest jedna różniąca się od reszty tym, że się ją absolutnie przemilcza. To sprawa germanistyki.

Zdawałoby się, że kwestię tej wagi powinno się traktować całkiem inaczej. Wyższe studium germanistyki, równorzędne z istniejącymi już wszędzie studiami anglistyki, slawistyki i Bóg wie czego jeszcze, to nie tylko rzecz sprawienia przyjemności kilku młodym kandydatom na profesorów w rogowych okularach. To kuźnia, wykuwająca broń przeciw Niemcom, nie mniej groźnym dziś, aniżeli wczoraj. Poznać wroga, to pierwsza i naczelna zasada każdej walki. Bez tego, wszystko inne, traci sens.

Więc po pierwsze młodzi germaniści, marnujący siły i zamiłowania na studiowanie mniej lub więcej sobie obcych przedmiotów, muszą mieć możność stania się kadrami specjalistów, obserwujących wroga i przygotowujących naród do jego obezwładnienia.

Drugi moment jest ten, że nie zawsze wolno kierować się koniunkturą. Nauka żyje ponad chwilą. Gdybyśmy np. popadli w konflikt z Anglią — czy palilibyśmy wtedy dzieła Shakespeare'a, a wyklinali Dyboskich i Helsztyńskich?

Zresztą z obu tych ważnych przyczyn ważniejszą zostanie chyba pierwsza. Za Odrą są Niemcy. Niechże do wszystkiego, co niemieckie, nie rozwiąże sytuacji. Patrzmy na zachód i bądźmy gotowi! Walka trwa. Obowiązkiem czynników miarodajnych jest:

1. przełamać niebezpieczną psychozę odwracania się tyłem do wiedzy niemieckiej;

2. dać nam do ręki niezawodną broń: poznanie wroga.

Powrót do spraw akademickich i konkluzja: na Uniwersytecie Warszawskim nie może brakować studium germanistyki.

CONRAD WCIĄŻ AKTUALNY

ISTNIEJĄ wieszczkowie i głębocy znawcy, którzy — jakoby — są w stanie przewidzieć pewne rzeczy. Pisali oni już nieraz o zmierzchu Conrada w Polsce. A my zaś, zwykli czytelnicy, czekając tymczasem na wznowienie dzieł wielkiego pisarza, sięgamy po najpoważniejszy miesięcznik literacki w Polsce — „Twórczość" i znajdujemy tam rzecz Galsworthyego o Conradzie. Anglik pisze o wielkim pisarzu w superlatywach, zaliczając go do ekstraklasy światowej.

Cóż — znawcom mylić się nie wolno: więc któż ma rację — Galsworthy, czy „oni"? Bo mimo wszystko Conrad jest ciągle aktualny, choćby zamieszczenie szkicu pisarza angielskiego o nim jest tego najlepszym dowodem, co więcej — jego idealistyczna postawa moralna warunkuje dziś bardziej niż kiedykolwiek zrozumienie jego dzieła i jakże jest nam bliska.

VOX HISTORIAE

(Dokończenie ze str. 3-ej)

teczności i dlatego narody są tymi integralnymi bryłami, które nierozdzielnie winny wejść i wejdą do następnej fazy ewolucji. Tylko na zupełnie wykształconych narodach, w pełni świadomych swej narodowej specyficznej wartości i odrębności, może powstać zdrowa forma nadnarodu.

Europa z jej różnolitą, bogatą kulturą, jest specyficznie trudnym problemem tego procesu. Jej różnorakość kulturalna jest bezcennym skarbem całej ludzkości. Jej silne zróżnicowanie polityczne będzie źródłem wielu ciężkich perturbacji politycznych, ideowych i kulturalnych, które kłaść się będą wpoprzek procesowi całkującemu. Sprawy mogą iść trudno, boleśnie, nawet krwawo — i należy bardzo uważać, by z bogatej europejskiej spuścizny uronić możliwie mało, by łączenie narodów nie stało się ich „gleischaltowaniem", by Europa z całym płodnym bogactwem jej kultury nie stała się w pewnej chwili prostacko ujednoliconym przyczółkiem wielkiej Afryki, czy półwyspem potężnej, z jej prawie miliardową ludnością, Azji.

Świadomość, iż tylko zjednoczenie polityczne świata zapewni mu pokój i prawdziwą możność pełnego rozwoju — nie jest nowa. Już starożytni stoicy, twórcy nazwy i pojęcia kosmopolityzmu, twierdzili, że tylko państwo rozciągające się na cały glob, zdolne jest zabezpieczyć ludziom ich prawa naturalne. Myśliciele średniowieczni byli z reguły uniwersalistami — uniwersalizm ten wyrastał na podłożu uniwersalizmu chrześcijańskiego. Dante już tęsknie zawodził w swej „Boskiej Komedii":

„nie ma, ktoby rządził ziemią,
dlatego z drogi zbacza rodzaj ludzki".

Wielu myślicieli politycznych czasów epoki nowożytnej propagowało związki państw. — Croce, Saint-Pierre, Saint-Simon, nasz Leszczyński.

Prócz teorii — zna historia i praktyki unifikacyjne. Jeśli chodzi o Europę, to próby te, właśnie dlatego, iż stosowano je z pominięciem wyżej postulowanej zasady: honorowania integralności i woli narodów — zakończyły się niepowodzeniem.

Niektórzy za pierwszą tego rodzaju próbę w historii nowożytnej chcą uznać wysiłki Karola Piątego. Taka opinia wydaje się jednak zbyt korzystną dla ambitnego cesarza, którego akcje militarne i polityczne miały na uwadze bardzo samolubne koronowanie się na władcę możliwie dużej ilości krajów i to wcale nie obejmujących całej — nawet całej podówczas wchodzącej w orbitę politycznego zainteresowania feodalnego monarchy — Europy.

Pierwszą rzeczywistą próbą unifikacji Europy — była próba Napoleona. Rozumiał on konieczność połączenia kontynentu w zwartą całość. To przekonanie narzuciła mu wojna z Anglią i klauzule traktatu berlińskiego, ustanawiającego blokadę kontynentalną. By blokada mogła dać faktyczne rezultaty — musiała być powszechną. Stąd wyprawa Napoleona przeciw Hiszpanii, Portugalii, nawet Stolicy Apostolskiej, wreszcie przeciw Rosji. Napoleon — wychowanek Rewolucji Francuskiej — zapomniał jednak o jej naczelnym wskazaniu, tym, które Goethe usłyszał pod Valmy i które obwieściło nową erę: erę nie rządzonych absolutystycznie państw, lecz samorządzących się (niekiedy tak absolutystycznie — niestety!) narodów wolnych. Napoleon metodą swych podbojów i metodą swych rządów narzucanych siłą — zaprzeczał narodom, unicestwiał je, nie był więc w stanie osiągnąć jedności kontynentu. Politycy Wielkiej Brytanii popełnili ten błąd tylko raz — w stosunku do Irlandii. Postarali się go po niewczasie politycznie odrobić; ślad tego błędu pozostał jednak, ścieląc się nieprzyjemnym urazem między dwoma narodami, przez samą naturę skazanymi na najściślejsze współżycie. Anglicy też dość późno pojęli to, co Napoleon zrozumiał dopiero na Świętej Helenie. Napoleon znał siłę uczucia narodowego Francuzów, choć sam był Korsykaninem. Zapoznawał jednak istnienie i walor tej samej siły u innych narodów. W efekcie spotkała go klęska. W sto dwadzieścia lat potem wystąpił na widownię Europy mąż stanu, który naśladując symbolikę Napoleona, nie pojął ani tego odstraszającego przykładu, ani wskazań wielkiego Talleyranda. Jemu też nie udała się budowa Nowej Europy.

Dla Marxa jaśniej i wyraźniej niż dla Napoleona rysowała się nieuchronna konieczność wytwarzania się nad-narodowych form bytu. Lecz nie rozumiał on istoty narodów i nie doceniał w pełni ich zwartości. Postulował on formy nie tyle nad- czy anty-narodowe, co mimo-narodowe. Obie wielkie wojny przekreśliły złudzenia o większej sile zwartości klasowej niż narodowej. Nie mów ąc już o całej klasie robotniczej czy chłopskiej, nawet u programowych i świadomych socjalistów czy komunistów i w tamtej wojnie (stanowisko socjalistów niemieckich, francuskich, belgijskich, angielskich i polskich) i w tej (radziecka „wojna ojczyźniana") okazały się silniejsze od powinowactw klasowych. Klasy w tej wojnie absolutnie nie łączyły się poprzez fronty i dzisiejsi marxiści nader nieśmiało wołają „proletariusze wszystkich krajów łączcie się!". A co radykalniejsi, to wogóle tego nie głoszą. „Międzynarodówka" przestała być państwowym hymnem Rosji Radzieckiej.

Następną próbą na drodze unifikowania — była Liga Narodów wraz z jej różnorakimi odpowiednikami — regionalnymi ententami. Spotkało ją fiasko — nie była to bowiem próba całkowania, gdyż ani nie obejmowała całego świata, ani nawet całej Europy. Ponadto — co istotniejsze — nie obejmowała swych członków w kluby jednolitej organizacji politycznej i gospodarczej, wyposażonej w stosowne egzekutywy, w pierwszym rzędzie egzekutywę militarną. Była to tylko i wyłącznie forma współpracy i to nader luźnej, do tego świadomie przez nierozsądnych mężów stanu, rojących o mocarstwowych suwerennościach, rozbijana i pomniejszana.

Teraz stoimy przed dalszą, kolejną próbą — tym razem unifikacji w skali światowej. Nie zastanawiając się chwilowo nad jej szansami — ograniczamy się do konkluzji, iż podjęcie tej próby jest w zgodzie z wymogami współczesnej techniki, współczesnej gospodarki oraz w zgodzie z kolejnymi etapami ewolucji form współżycia międzyludzkiego, obecnie już tylko międzynarodowego.

Kazimierz Koźniewski

POEZJE JANA OLECHOWSKIEGO

PROSTA JAK SOSNA WYROSNĄĆ

Miasta niema. Z daleka sygnalizuje alfabetem świateł...
Droga jest biała i długa. Nie ma napewno kresu.
Tak trudno uwierzyć, że tutaj jest cicho. Lato.
Wieczór.

Księżyc zgłębia w zadumie taje mnicę ciszy
Zaszemrało wysoko... To modlą się sosny.
Boże, skupiony na wargach kobiet klęczących pod krzyżem
Pozwól młodości mojej prostą, jak sosna, wyrosnąć!...

W piersi wrzawa ucicha. Spokój drży ciemny i błogi.
Wolno spadają gwiazdy — smugi świetlistych pozdrowień
Tyle miałem w sobie krzyku. Teraz wiem. Nie mogę
Nic nie powiem.

Płaszczem chmur księżyc otula się. Ciemno.
Las skrada się z daleka długim, czarnym cieniem
Może to tylko noc. A może — Ty jesteś ze mną!
Nie wiem.

STOLICA NOWEGO ŚWIATA

Idą fale eteru przez noce skłębione i dni.
Wszystkie opłotły miasta, minęły graniczne słupy,
Na New-York, Londyn, Moskwę, na Paryż, Madryt Rzym
Spadają wciąż z łoskotem —
Warszawskie trupy.

Ziemia wchłonąć nie może śmierci na szczytach cierpienia
I nie przysypią jej pyłem zgiełkliwe idące lata.
Będzie się ciągle przewalać lawa kipiąca w podziemiach
Warszawa — dymiący krater.

Nasz los rozpalać łunę na mrocznych horyzontach
I trwogą ściskać serca możnych imperium świata,
By wiatr roznosił iskry po wszystkich morzach i lądach —
Warszawa płonie! — Nie padła!...

A kiedy nadejdzie wreszcie chwila nieubłagana
I ludzie nowej wiary pochodnie buntu pochwycą,
Ty będziesz, rano pałąca, Warszawo zdruzgotana —
Nowego świata stolicą.

SIÓDMA RZEKA

Kiedy noc teatralnym cieniem
Góry senne pochyli, zgarbi,
A na świata przestronnej scenie
Błysną gwiazd srebrne kandelabry

Kiedy drzewa stłumią i wchłoną
Turkot godzin dziennych i gwarnych
I ta cisza łagodną dłonią
Z czoła troski natrętnie zgarnie —

Jakże łatwo popłynąć myślom
W świat jedyny, własny, prawdziwy,
W którym bliski jesteś drzewom, liściom
I jak drzewa, kwiaty szczęśliwy.

W którym wierzysz mocno, gorąco,
Że to wszystko, co szumi, śpiewa,
Spłynie kiedyś magiczną nocą
Poza ciemną kurtynę nieba.

I że wtedy stęsknione oczy
Blask porazi — nagłe olśnienie
I jak kropla w morze się stoczysz
W swoje wielkie, ludzkie marzenie.

I choć wiesz, że znów zabulgoce
Jutro życie jak wrzący kocioł.
Pozwól dzisiaj samotną nocą
Modlitewnej płynąć tęsknocie

Ona jedna na wszystko głucha
Pójdzie z tobą naprzeciw burzom.
Aż przepłyniesz tę, którą szukasz
Siódmą rzekę za siódmą górą

Życie gospodarcze

Prezes Centralnego Urzędu Planowania Czesław Bobrowski szacuje całkowicie płynną rezerwę kasową sektora prywatnego na kilkanaście miliardów złotych (Gospodarka Planowa z 5.II.47 r. Nr 3 — 4). Jednym z elementów, będących podstawą powyższego szacunku jest sprzedaż artykułów monopolowych. Np. spirytusu sprzedano w całym roku:

1945 r.	4,9 mil. litrów
w I kwart. 1946 r.	5,5 „ „
w II kwart. 1946 r.	7,5 „ „
w III kwart. 1946 r.	9,8 „ „

Jest kwestią, czy sprzedaż spirytusu jest właściwym wskaźnikiem dla oceny siły płatniczej sektora prywatnego. Obawiamy się, że poważnym nabywcą tego artykułu jest świat pracy. Tym niemniej pogląd, iż sektor prywatny dysponuje znacznymi kapitałami pieniężnymi, wydaje się całkowicie słuszny.

Równocześnie jest rzeczą wiadomą z jakim trudem Państwo mobilizuje środki dla pokrycia budżetu i planu inwestycyjnego. W związku z powyższym wyłania się problem wciągnięcia owych wolnych środków sektora prywatnego w ramy ogólnego planu gospodarczego.

Narastanie wolnych rezerw pieniężnych jest wynikiem nie tylko osiągania znacznych zysków w sektorze prywatnym, lecz również coraz większych trudności dokonywania korzystnych lokat. T. zw. „szaber" jak się zdaje, stanowi już wyschnięte względnie wysychające źródło. Ceny walut, złota i wyrobów jubilerskich uległy zwyżce niewspółmiernej do zwyżki cen innych artykułów. Uruchomienie sklepów, restauracyj, kawiarń jest coraz mniej atrakcyjne z uwagi na dużą liczebność tego rodzaju przedsiębiorstw. Istnieją oczywiście możliwości spekulatywnych zakupów różnych artykułów czyto pierwszej potrzeby, czy to luksusowych, jednakże zachodzą tutaj różne trudności techniczne, zniechęcające do powyższych tranzakcyj. W rezultacie, osoby, które dysponują wolnymi środkami, zajmują stanowisko wyczekujące, gromadząc w ten sposób znaczne rezerwy.

Oczywiście już sam fakt unieruchomienia dużej siły kupna jest z punktu widzenia aktualnej sytuacji pieniężnej faktem pozytywnym. Jednakże stanowi równocześnie zjawisko ujemne, ponieważ, p r i m o: Państwo nie mając możliwości użytkowania tych środków wywołuje nacisk na dodatkową emisję pieniądza, s e c u n d o: powyższe rezerwy w każdej chwili mogą uaktywnić się, powodując gwałtowne procesy inflacyjne, co z uwagi na duży wpływ momentów psychologiczno - politycznych stwarza szczególne niebezpieczeństwo, mimo tego, iż w danej chwili ma ono charakter tylko potencjalny.

Jak widać już z powyższych ogólnikowych rozważań problem właściwego ulokowania wolnych środków sektora prywatnego stanowi jeden z najpoważniejszych bieżących problemów gospodarczych.

Naszym zdaniem problem ten może zostać pozytywnie rozwiązany pod warunkiem, że stworzone przez Rząd możliwości lokacyjne będą dostatecznie atrakcyjne i że, nie naruszając istotnych zasad nowego ustroju, przedsięwzięcia w tym względzie będą śmiałe i zdecydowane.

Jako najbardziej efektywne sposoby zaangażowania wolnych kapitałów prywatnych wymienić należy:

1. sprzedaż mienia poniemieckiego i to w szczególności nieruchomości na ziemiach dawnych,
2. stworzenie warunków dla budownictwa prywatnego, które objęłoby nie tylko domy przeznaczone dla użytku osób prywatnych, lecz również budynki przeznaczone dla instytucyj państwowych,
3. dopuszczenie inicjatywy prywatnej w szerszym aniżeli dotychczas zakresie do handlu hurtowego.

Pierwszy ze sposobów przeobraziłby martwe i niszczejące kapitały Państwa w środki płynne, które właściwie zainwestowane zwiększyłyby majątek narodowy. Drugi sposób zwolniłby dotychczas angażowane środki Państwa na cele budowlane, przyczym czynsz opłacany przez Państwo od budynków wzniesionych przez kapitalistów prywatnych stanowiłby w istocie rzeczy to samo, co odsetki od obligacji budowlanych Państwa.

(D. c. na str. 7-ej)

Z prasy szwajcarskiej

Przedstawiciele społeczeństwa rzymskiego mają zwyczaj zbierać się w Watykanie na początku stycznia każdego roku, by składać Ojcu Św. noworoczne życzenia. Papież przy tej sposobności wyraża zawsze swoje poglądy na sprawy włoskie i daje swoje dyrektywy.

W tym roku, udzielając tej audiencji 19 stycznia, określił cechę dominującą ubiegłego roku, jako całkowitą niepewność. Szło się po ciemku, rozważania i manifestacje woli ludu kształtowały się i promieniowały ustawicznie. Było niemożliwym wyciągać jakiejkolwiek prognostyki.

Pomimo pewnej poprawy niepewność trwa i w dalszym ciągu nadaje swoje piętno chwili obecnej i to zarówno w planie narodowym, jak i międzynarodowym, gdzie ludy oczekują z niepokojem na traktaty pokojowe, które by zapewniły sposób życia conajmniej możliwy do wytrzymania dla narodów Europy. Niestety, nie można przewidzieć dotychczas dokładnie wyniku zderzenia tak rozbieżnych sił społecznych i tak sprzecznych doktryn religinych, społecznych i politycznych.

Dużo łatwiej jest natomiast określić zadania katolików w warunkach obecnych:

Nie można dopuścić, aby chrześcijanin dezerterował z polityki, aby stał się „emigrantem wewnętrznym”. Nie można dopuścić, aby z żalu, czy ze zniechęcenia zaniechał użytkować swoich zalet i energii. Nie można dopuścić, aby jak nowy Achilles przebywał w swoim namiocie, wtedy, kiedy się rozgrywają losy jego narodu. Nie zrzekając się wolności swoich przekonań, chrześcijanin musi przyjąć społeczeństwo takie, jakie jest i przyłożyć się, aby wedle swoich możliwości skierować go dla ogólnego dobra.

Co stanowi ogólne dobro społeczeństwa? Jest nim całokształt warunków publicznych normalnych i stałych, pozwalających poszczególnym osobom i rodzinom prowadzić życie godne, uregulowane, szczęśliwe, zgodne z prawem Bożym. Aby to móc zrealizować, człowiek otrzymał od Boga wolną wolę — jego prawem jest bronić tej wolności, jest to zadaniem każdego porządku prawnego, które na tę nazwę zasługuje. Nie wynika z tego, aby wolność mogła być nadużywana dla gwałcenia moralności publicznej i rozpętywania namiętności. Z tego powodu dopuszczalne jest ograniczenie wolności prasy i filmu.

Najlepsze jednak prawa nie pomogą, jeżeli pozostaną prawną literą. Wprowadzenie ich w życie zależy od ludzi — ludzie muszą kierować się zdrowymi zasadami i być całkowicie oddani swojemu krajowi. Może zmieniać się forma — nie zmieni się cel, który powinien przyświecać warstwom kierowniczym: służba ludowi.

Prasa szwajcarska, komentując to przemówienie, które tytułuje: „Papież przeciw emigracji wewnętrznej” — nawiązuje je do niedawnego orędzia Ojca Św. do Szwajcarów, gdzie wyrażał się: „świat potrzebuje pracy rąk, które potrafią złożyć się do modlitwy”.

Katolicka prasa szwajcarska wyraża zadowolenie z zarysowującej się poprawy stosunków między Watykanem a Republiką Radziecką. Zaznaczając, że nie należy spodziewać się w bliskim czasie zawarcia konkordatu, wyrażając nawet nadzieję na ustalenie prowizorycznego modus vivendi.

(Dok. ze str. 6-ej)

Wreszcie trzeci sposób ograniczyłby zapotrzebowanie na środki obrotowe państwowego i spółdzielczego aparatu handlowego, a równocześnie zapewniłby szybką dystrybucję wyprodukowanych towarów, co z kolei zmniejszyłoby zapotrzebowanie na środki obrotowe aparatu produkcyjnego. Możnaby wymienić jeszcze szereg innych pozytywnych zastępstw przeprowadzenia powyższych operacyj, wyżej wymienione uważamy jednak za najbardziej istotne.

Istnieją okoliczności świadczące o tym, że czynniki, które kierują naszym życiem gospodarczym doceniają wagę omawianego zagadnienia i podejmą właściwe środki działania. Należy tylko wyrazić nadzieję, że trafne koncepcje nie utoną w głębinach biurokratyzmu i ciasnego doktrynerstwa wykonawców. (t)

Zagadnienia i poglądy

ZNAK

Wyszedł nareszcie 3 numer „Znaku”. Miesięcznik zamienił się w praktyce na kwartalnik — jest to poważną stratą dla czytelników, ponieważ pismo jest czekawe i materiał dobrze dobrany. Redakcja obiecuje, że następne numery będą ukazywać się regularnie co miesiąc. Nie bardzo w to wierząc, składamy redakcji jak najserdeczniejsze życzenia zwycięskiej walki z dużymi — jak należy sądzić — trudnościami.

„Znak” jest niewątpliwie najpoważniejszym miesięcznikiem katolickim w Polsce. Zadaniem jego jest z jednej strony zapoznawanie czytelników z aktualnym stanem współczesnej myśli katolickiej na świecie, z drugiej — rozwijanie i pogłębianie tej myśli. Praca ogromna i odpowiedzialna. Zespół „Znaku” — jak mało który zespół intelektualny w Polsce—potrzebuje dużych kontaktów z podobnymi mu środowiskami europejskimi. Z natury rzeczy filozofja i myśl katolicka rozwija się przede wszystkim w Europie zachodniej. W okresie ostatnich kilku lat obserwujemy ogromny wysiłek myślowy na Zachodzie. Być może, los Europy się dokonywuje — może dlatego jej twórczość duchowa jest tak gwałtowna, jakby testament w pośpiechu pisany przez kogoś śmiertelnie chorego, który wie, że niedługo umrze. Spraw tych tutaj nie rozstrzygniemy. Jedno jest pewne, że mamy za mały dostęp do tej twórczości. Nie mówiąc już o wyjazdach, nawet książki są marzeniami nie do zrealizowania. Dlatego z uznaniem należy podkreślić obszerny i ciekawy dział sprawozdawczo-informacyjny zagraniczny w ostatnim numerze „Znaku‘.

Gdyby takie określenia, jak „prawicowy” i „lewicowy”, czy też „reakcyjny” i „postępowy”, dziś jeszcze cokolwiek znaczyły, gdyby nie wymagały dokładnej analizy i jak najściślejszego określenia treściowego — można by „Znak” nazwać pismem lewicowym i postępowy. Lewicowym, ponieważ nie ma zamiaru bronić interesów społecznych ludzi posiadających — ani też dawnego ustroju gospodarczego — postępowym, ponieważ wyraźnie leży w nurcie historii i interesuje się przede wszystkim obliczem przyszłości i możliwością wpływu katolików na tę przyszłość.

Rezygnując z omówienia całości numeru, zwracamy szczególną uwagę na wstępny artykuł dr. Stanisława Stommy p. t. „Maksymalne i minimalne tendencje społeczne katolików”.

Treścią artykułu są rozważania natury historiozoficznej, jako też głęboka analiza różnicy postaw radykalnych katolików francuskich i katolików polskich.

Autor rozpoczyna swoje rozważania od przypomnienia znanej tezy Spenglera o nieuchronnym końcu cywilizacji europejskiej. Teza ta nie jest zresztą obecnie wyłączną własnością Spenglera — podziela ją szereg innych myślicieli między innymi Maritain, a ostatnio katastroficzne przeczucie końca cywilizacji, jest powszechną modą intelektualną w Europie. Mimo, że marksiści ostro potępili tezy Spenglera, dr. Stomma dostrzega ogromną zbieżność przewidywań tych dwóch koncepcji.

Spengler głosi koniec kultury Zachodu, a Marks zapowiada zupełnie nową, szczęśliwą erę socjalizmu. Kultura, jaką Spengler, jako zachodnio - europejską określa, była w większości dziełem t. zw. wyższych warstw społecznych. Z pewnym uproszczeniem możnaby ją określić mianem kultury szlachecko - mieszczańskiej. Czyż z teorii Marksa nie wynika ostateczny koniec cyklu kultury i cywilizacji tych warstw? Zbieżność istotnie duża.

Przyjęcie lub odrzucenie tez Spenglera, posiada — według dr. Stommy — zasadnicze znaczenie tak dla całej postawy wobec społeczności, jak i dla oceny słuszności minimalizmu społecznego katolików francuskich i maksymalizmu polskich. Socjalizm stanowi zaprzeczenie całego porządku historycznego Europy, odrzucając własność prywatną i wysuwając postulat własności kolektywnej, musi być uznany za nową formę ustrojową i za nową epokę w historii. Doktryna zaś katolicko-społeczna przez swój charakter reformatorski i ewolucyjny należy do starej cywilizacji europejskiej, a socjalizm trzeba by uznać za początek nowej.

Wobec tego byłoby błędem wiązać w jakikolwiek sposób Kościół ze sprawą społeczną.

Tak rozumują radykalni katolicy francuscy i wyciągają z tego rozumowania, pełne konsekwencje, odstępując marksizmowi pole na odcinku regulowania spraw społecznych i gospodarczych. Zyskują tym samym zrozumiałą sympatię lewicy.

Tak Maritain, jak i grupa Mouniera nie wierzą w możliwość reform w ramach dotychczasowej cywilizacji. Uważają, że na to jest już za późno. Ocena ta jest uwarunkowana sytuacją socjologiczną współczesnej Francji. Gdzie z jednej strony mamy konserwatywne i dekadenckie mieszczaństwo obdarzone głębokim poczuciem własnego epigonizmu, a z drugiej dynamiczny proletariat świadomie kroczący do wielkiego przewrotu socjalistycznego.

Na tym tle socjologicznym powstał zrozumiały minimalizm społeczny radykalnych katolików. Sprawy społeczne zostawmy marksistom — walczmy o te wartości, które stanowią istotę katolicyzmu— wołają.

Wyższy stopień cywilizacyjny Francji i płynąca stąd większa zdolność ścisłego oddzielania problemów, jak też pewna sublimacja i dematerializacja stosunku do wszelkich zagadnień, a więc i do religii, ułatwiają katolikom francuskim skupienie uwagi koło zagadnień najistotniejszych.

Elita francuska myśli głębiej i jaśniej od polskiej, ale wnioski jej są wygodne do przyjęcia dla zmęczonych i unikających walki mas — stwierdza dr. Stomma.

Zresztą nawet obóz nielicznej lewicy katolickiej we Francji nie jest jednolity. Maritain sceptycznie ocenia przyszłość nie wyklucza możliwości okresu katakumb. Mounier natomiast wierzy w możliwość nie tylko współżycia i nawracania, ale też we wniesienie szeregu wartości starej cywilizacji w nową. Katolicki ruch polityczny MRP przyjmuje postawę zupełnie odmienną i zbliżoną do postawy Polaków.

W Polsce — pisze dr. Stomma — warstwy średnie mają wiele rozmachu życiowego i witalizmu. Ma to w pewnej mierze źródło w młodości cywilizacyjnej Słowian, stąd warstwy związane z dotychczasową kulturą nie mają zamiaru rezygnować z realizacji swych koncepcji. Prymitywno witalny charakter mas polskich, wprowadzenie religii w kompleks nacjonalistyczny i płynąca stąd niezdolność uniwersalnego odczuwania katolicyzmu, powodują uproszczenia zagadnień religijnych na rzecz konkretu społecznego. Poszukiwanie konkretu i chęć zrealizowania postawy religijnej w walce rzeczywistości społecznej cechuje katolików polskich. Jeśli socjalizm będzie się pogłębiał i poszerzał, postawa ta jest niebezpieczna i może sprowokować konflikt o zagadnienia bądź co bądź drugorzędne.

W odróżnieniu do postawy omawianych grup francuskich postawę katolików polskich określa dr. Stomma jako społecznie maksymalistyczną.

Przez cały artykuł przewija się głębokie przekonanie autora o wtórności i drugorzędnym znaczeniu spraw socjalnych. „Cóż pomoże człowiekowi, choćby cały świat zyska, jeśli na duszy swej szkodę poniesie”. Nie należy przeceniać wagi spraw społecznych dla katolików — ponieważ katolicyzm jest przede wszystkim religją, jest osobistym stosunkiem człowieka z Bogiem. Walkę katolicyzmu na terenie społecznym określa dr. Stomma jako forpoczty Kościoła, których zadaniem jest czuwać, aby naczelne zadanie człowieka, t. j. rozwój wszechstronny osobowości ludzkiej, nie zostało uniemożliwione. Dlatego możliwe są różne programy społeczne i ustrojowe, które by, jako katolickie, mogły uchodzić. Nie należy przeceniać znaczenia katolickiej doktryny społecznej, albowiem ma ona charakter bardzo ogólny i historycznie zmienny. Zagadnień tych lekceważyć nie można, ale pamiętać należy, że stanowią one tylko pierwszą linię oporu — linię, którą radykalni katolicy francuscy nie opuścili. Największą wartością katolicyzmu są bezimienni, nieznani, cisi święci, żyjący pełnią życia nadprzyrodzonego w Kościele i dający siebie w ofiarnej pracy dnia codziennego. Te same prawdziwe linie obronne, które, choć są nie do zdobcia, wymagają stałego wysiłku i pracy. Te linie w Polsce są mocne.

Tyle dr. Stomma. Widać z tego nieudolnego sprawozdania, jak szerokie zagadnienia poruszył i jak wnikliwą analizę sytuacji przeprowadził autor artykułu. Nie ze wszystkimi jednak wnioskami i sformułowaniami dr. Stommy możemy się całkowicie zgodzić. Wątpimy w możliwość współistnienia minimalizmu społecznego z maksymalizmem rozwoju wewnętrznego osobowości. Nie wydaje się nam też jeszcze udowodniona teza — wyznawana również przez Francuzów — że to właśnie markistowski socjalizm ma stanowić istotną treść nowej cywilizacji i epoki. Do zagadnień tych niejednokrotnie jeszcze powrócimy.

dh.

Z teatrów śląskich

Spektakl „Dwu teatrów”, oglądany na scenie Państwowego Teatru Śląskiego, w Katowicach, budzi niecodzienne nastroje. Zaczyna się od wewnętrznego sporu na temat końcowej sceny sztuki.

„Twórczość” Nr 12, str. 36, w nawiasach, kursywą:

„Odezwał się zegar ścienny, bijąc godziny przedwieczorne. Nieruchome postacie, oprócz żołnierzy, poruszły się, zaczynają podawać sobie szeptem „ktoś idzie, ktoś idzie, ktoś idzie” — cofają się, nikną. — Żołnierze pomaszerowali wprost przed siebie, nikną. Usunął się i Dyrektor „Teatru snów”. Drzwi się otwierają, widać sylwetkę Laury, za nią Montek i Woźny. Gdy otworzyli drzwi, wiatr silniej zakołysał płomieniami świec. — Laura położyła palec na ustach. Zotrzymali się na schodach. — Patrzą na swego dyrektora”. Tak kończy „Dwa teatry” Szaniawski. Ostry i bezlitosny zwykle ołówek reżyserski wykazuje tym razem dużo inwencji i prowadzi akcję w dalszym ciągu, ustalając jej przebieg tym mniej więcej dodatkiem: Po chwili Laura podchodzi do śpiącego Dyrektora. Matkowski i Montek bezszelestnie zbliżają się do stolika. Laura z czułością okrywa śpiącego pledem. Dyrektor budzi się. W pierwszej chwili zdumienie: co tu jest snem — to, co widzi teraz, czy to, co się działo przed chwilą. Realność Laury, Matkowskiego i Montka zwycięża. Dyrektor odzyskuje pełną świadomość. Uśmiecha się. Bierze do ręki pióro. Wyciąga rękę jakby po swój notatnik. Za chwilę coś powie. Laura, Matkowski i Montek nachylają się nad nim z zaciekawionym wyczekiwaniem na słowa, które padną. I tak wszyscy zastygają w bezruchu. Kurtyna.

I tu spór:

Powiada głos A: Drektor rzeknie za chwilę: Pani Lauro, proszę mi podać mój notatnik. Opowiem wam swój sen, jaki miałem przed chwilą.

Replikuje B: Nic podobnego. Dyrektor powie tak: Dobrze, że jesteście. Pani Lauro, teraz i pani pomoże mi w teatrze. Matkosiu, mówiłeś dziś, że gdyby był Montek... Montek się znalazł. Robimy teatr. Ale inny teatr... Taki teatr, w którym trzeba pokazać dalszy ciąg „Matki”, dalszy ciąg dziejów Andrzeja... „Małe zwierciadło” stłukło się w czasie wojny. Trzeba stworzyć nowe lustro. Lustro życia i snów...

Kto z nich ma rację. A czy B? Przypuśćmy, że pierwszy. Dyrektor znajdzie się w kłopocie. Jego analiza snów nie miała w sobie nic z symboliki ani Fredrowskiej, ani egipskich senników.

Szafa w śnie występuje dla tego, że śniący nigdy nie miał szafy, a nie... patrz Freud „Wstęp do psychoanalizy”. Dziecko widziane we śnie, to wcale nie „spotka cię nieszczęście”, to tylko dowód, że śniący pragnął, lub pragnie mieć dziecko. „Ja podchodzę do tego naukowo”, a więc.. tak, jak Laura śniła o barwach, bo kiedyś lubiała malować, tak oglądany spektakl „Teatru snów” jest dowodem wczorajszych, jawnych marzeń Dyrektora o takim właśnie teatrze. No, a „Małe zwierciadło”?

I tutaj może nastąpić uzgodnienie poglądów obu oponentów. Jeśli Dyrektor przyzna (a, że na to się zanosi, widać wyraźnie po przygotowującym nas do rewelacji uśmiechu), iż „Małe zwierciadło” było narzuconą sobie fikcją, było antytezą dążeń, było okłamywaniem się, wówczas nic nie stoi na przeszkodzie, by bezpośrednio po tym przeszedł do wygłoszenia następnej „kwestii” według tekstu podsuniętego przez p. B. Oponenci podadzą sobie dłonie, pójdą na wódkę, a świadkowie sporu pomyślą mimochodem: z tymi snami to wszystko bardzo ładnie tylko aby znowu ich w teatrze nie było za dużo. Mysibrat był nieszczęśliwy bez cienia, ale tylko w pięknej bajce Żukrowskiego można uwierzyć w szczęście miłego kotka.

Wierciński przygotowując wykład myśli Szaniawskiego na scenie katowickiej, zdawał sobie sprawę z rodzaju publiczności, która przyjdzie spektakl oglądać. Wiedział o tym, iż widownia śląska nie chce i nie potrafi sobie „dośpiewywać”. Stąd konstrukcja wykładu miała charakter niezwykle plastyczny, obrazowy, w dobrym słowa znaczeniu: popularny, przejrzysty. Niestety, jak się okazało, nie dla wszystkich. Pewien mędrek i podobno poeta, odsiedziawszy czas spektaklu, zapragnął podzielić się swymi wrażeniami z masami i tak napisał w recenzji:

„Pointa sztuki, przebudzenie się dyrektora jest dla naszego, katowickiego teatru bardzo znamienna. Dyrektor jest realistą, nie dał się pokonać przedstawicielom mgławicowego symbolizmu wbrew zamierzeniom dyrektora Teatru snów. Obudził się nie dla realizowania snów, a dla zdrowej, trudnej pracy”.

I pocóż cały trud Wiercińskiego?

Patologiczny objaw choroby, zwanej z łacińska „cretinismus”, budziłby tylko litość, gdyby... Przyjaciel chorego przeczytawszy jego recenzję w „Teatralnej”, powiedział z ulgą: „no, dobrze wybrnął z opresji”. I tu jest pies pogrzebany. Sugeruje się czytelnikom fałszywą opinię celowo, by myśl Szaniawskiego wypaczyć, bo ta myśl drażni swoją innością.

Na przekór krętackiej opinii owego recenzenta publiczność śląska przyjęła sens „Dwu teatrów” właściwie i, jak nigdy, gorąco, wywoływała Wiercińskiego (reżyseria), Pronaszkę (dekoracje), nie szczędziła słów uznania aktorom (świetnie zresztą się orientuje w ich drobnych, na szczęście, niedociągnięciach), a na jednym z dalszych spektakli (czwartek 6.II) urządziła owację przybyłemu do

Katowic z wizytą Jerzemu Szaniawskiemu.

* * *

W czasie gdy „Dwa teatry“ cieszą się zasłużonym powodzeniem na dużej scenie Teatru Śląskiego, Wł. Krzemiński zgotował nam nową niespodziankę na „Małej scenie“. Wystawiono tu żart sceniczny Shaw'a „Mąż przeznaczenia“ i komedię Musseta „Kaprysy Marianny“. Urok całego spektaklu jest tak silny, że normalna recenzja minęła by się z celem. Trzeba mówić raczej o oszołomieniu publiczności zbyt dużą dawką poezji. Komentarze popremierowe były raczej nikłe — widownia przeżywała w milczeniu swoje wrażenia, a zjawisko to występuje z zasady tylko w zetknięciu się z wydarzeniami dużej miary.

Z „Męża przeznaczenia“ wydobyto wszystko to, co było w tym żarcie najciekawszego: tempo (prócz długiej tyrady o Anglii), iskrzący się dobrym dowcipem dialog. „Kaprysy Marianny“ przetransponowane zostały na nastrojową pieśń miłości. Podkreślić należy, iż trzeba duszy wykonywującej pieśń Mussetową; zasłużyli na tokie uznania, jakimi pamięć ludzka obdarza naprzykład hrabiego Poitren.

Wł. Krzemiński „Mężem i żoną“ i ostatnią premierą zdaje swój egzamin reżyserski na stopień niemal celujący. Do skreślenia słowa „niemal“ trzeba, by realizator „kaprysów“ zrezygnował z nadużywania zbyt rzucających się w oczy tricków, bo to prowadzi do szkodliwego w pracy prawdziwego artysty dążenia do efekciarstwa. Samo słowo jest tak brzydkie, iż nie trzeba tłumaczyć, jak brzydką jest jego treść.

Godzi się podkreślić, iż Krzemiński zdaje korzystnie swój egzamin nie przy zielonym stoliku, ale wobec publiczności, i to publiczności może nie tyle wymagającej, ile trudnej.

* * *

Wierciński wykłada Szaniawskiego, Krzemiński ma ambicję być dobrym reżyserem — skutek prosty: Artur Maria ma rację twierdząc, iż Katowice mają najlepszy teatr w Polsce.

Mieczysław Markowski.

CZYTELNIK UWAŻA ŻE

W niniejszej rubryce drukować będziemy wypowiedzi i opinie naszych czytelników na wszelkie zagadnienia życia współczesnego, politycznego, społecznego, gospodarczego i kulturalnego. Wypowiedzi winny być opatrzone imieniem i nazwiskiem lub pseudonimem (w tym wypadku nazwisko winno być podane do wiadomości redakcji) oraz nazwę miejscowości. Wypowiedzi nie powinny przekraczać 50 wierszy druku.

DO REDAKCJI „DZIŚ I JUTRO“

W obecnym okresie najwięcej piszą o konspiracji ci, którzy z nią wogóle nie mieli nic do czynienia, albo słabo się o nią ocierali.

Np. p. Witold Kotowski w tygodniku „Dziś i Jutro“ Nr 41 pisze, jak „zaszyty w głuszy wiejskiej w czasie okupacji niemieckiej“, czytał książkę „Sprawa narodowa“ i jakie myśli nasunęły mu się po przeczytaniu tej książki.

Myśli te rozwija w artykule „O konspiracji“ i daje własną ocenę naszej pracy konspiracyjnej w okresie okupacji niemieckiej, oczywiście ujemną. Ktokolwiek jednak miał możność przeżyć okres okupacji niemieckiej w konspiracji, której był oddany całą duszą i sercem, i tylko dzięki zbiegowi szczęśliwej okoliczności doczekał się wyzwolenia kraju, po przeczytaniu tego artykułu czuje niesmak i jak gdyby zawód z braku uznania za te setki tysięcy ofiar ludzkich, które ponieśliśmy w walce konspiracyjnej o wolność kraju.

P. Kotowski ostro krytykuje metody pracy konspiracyjnej, zwłaszcza na terenie Warszawy, twierdząc, że był to poprostu „brak skrupułów w pchaniu ludzi na drogę zniszczenia“. Przypomina szarżę pod Rokitną, jako o nonsensie militarnym, będącym hańbą sanacyjnej historii militarnej i t. p.

Pewnie, na ten temat możnaby wiele pisać i z różnego punktu widzenia. Nie wiem, czy p. Kotowski zna się trochę na sztuce wojennej, czy jest żołnierzem, czy politykiem, czy publicystą, nie znającym dokładnie ani jednej, ani drugiej rzeczy. Jeśli tak, to lepiej, ażeby się zaangażował jako korespondent „Trybuny Robotniczej“, a nie tygodnika „Dziś i Jutro“.

Jeżeli kierowalibyśmy się sentencjami p. W. Kotowskiego, to wogóle konspiracja była niepotrzebna. Mało, niepotrzebne było nasze wystąpienie przeciw Niemcom we wrześniu 1939 r. Bo czym ono było, jeśli nie szarżą pod Rokitną? Przecież nasze O. de B. w porównaniu do niemieckiego dawało taki sam stosunek sił. Dlaczego występowaliśmy? Dlaczego powoływaliśmy się na honor i w imię jego walczyliśmy? Czy nie był to „nonsens militarny, który aż nadto trącił wpływami Sienkiewicza i był dążeniem do barwnego popisu? — według twierdzenia p. Kotowskiego. Bo jeżeli kierowaliśmy się oszczędnością biologicznch sił narodu, to najlepiej było nam postąpić tak, jak postąpiła Czechosłowacja. A lepiej jeszcze tak, jak Węgry i Rumunia. Bylibyśmy zapewne zyskali jakichś ze 3 miliony istot ludzkich. Niemcy nas jako sprzymierzeńców napewno nie niszczyliby. Zażądaliby może jakiegoś legionu, składającego się z kilkunastu tysięcy żołnierzy przeciwko Rosji Sow. i na tym koniec.

A może i tego nie potrzeba byłoby, gdyż wojna Niemiec z Rosją możeby wówczas nie istniała, albo miałaby inny przebieg. W każdym razie zyskalibyśmy ludnościowo. Terytorialnie jako sprzymierzeńcy Niemiec więcej nie stracilibyśmy, jak po Bug i San.

Tak mniej więcej wyglądałaby nasza sytuacja polityczna, gdybyśmy stosowali politykę odmienną od tej ,jaką prowadziliśmy w latach wojny.

Nie poszliśmy jednak na tę łatwą drogę, po linii najmniejszego oporu. Szarżowaliśmy we wrześniu 1939 r., by ratować nie tylko nasz kraj i nasz naród. Szarżowaliśmy, by ratować świat i ludzkość. Nasza szarżą spowodowała wojnę światową i jej dzisiejsze rezultaty. Szarża pod Rokitną i Sienkiewicz wychowały tych, którzy szarżowali w 1939 r. i w konspiracji.

Nasza konspiracja była odcinkiem frontu, takim samym, jak Stalingrad, Monte Cassino i Normandia.

Że ta konspiracja była masowa i na każdym kroku dawała nieprzyjacielowi znać o swoim istnieniu, to dzięki temu Niemcy musieli na terytoriach polskich trzymać tych kilkanaście dywizyj, tak potrzebnych im na innych frontach.

To wiązanie npla było może jednym z podstawowych celów walki konspiracyjnej. Takim samym, jak maskowane manewry alianckie na Zachodzie przed inwazją, dzięki którym musieli Niemcy z zagrożonego frontu wschodniego przerzucać swoje dywizje na zachód, a Rosjanie z tego powodu mogli na tym froncie ująć inicjatywę w swoje ręce.

Tak p. W. Kotowski, Sienkiewicz był potrzebny, Rokitno, wrzesień 1939 r., Monte Cassino, Warszawa i konspiracja również, taka właśnie, jaką ją Pan oglądał z „zaszytej głuszy wiejskiej“. Inaczej my i świat wchodzilibyśmy w skład imperium narodu państw, jakim pragnęła być Rzesza niemiecka.

O tym musimy stale pamiętać.

Ponadto jeszcze jedna uwaga. Moim zdaniem niebezpieczna i szkodliwa dla Polski Walczącej pod okupacją i na innych frontach.

Prasa niezależna, ulegając tym wpływom, również od czasu do czasu zamieszcza artykuły, dotyczące innych okresów walki konspiracyjnej.

Uważam tę podjazdową walkę za wielce niemoralną, gdyż ze środowiska walczących szeregów brak reakcji, brak kontrartykułów.

Żołnierze Polski Walczącej dali Jej swą krew i życie bez krytyki i obliczeń matematycznych.

Nie żądamy dziś waszego uznania, nie walczymy o tanią popularność, więc dajcie nam spokój.

My pragniemy tylko, by historia w przyszłości wypowiedziała swój niezależny sąd, hołd dla poległych bezimiennych bohaterów, których kości rozrzucone są na umęczonych obszarach ziemi polskiej i na wszystkich frontach świata.

Żołnierz b. A. K. Wir

DO REDAKCJI „DZIŚ I JUTRO“

W numerze 6 „Dziś i Jutro“ z lutego r. b., w dziale „Czytelnik uważa, że...“ przeczytałem notatkę Wielebnego Księdza M. Jeża z Krakowa, dotyczącą mej recenzji z książki Lucjana Szenwalda „Utwory poetyckie“. Na marginesie tej notatki pragnę stwierdzić, że nieprawdą jest, jakobym bluźniercze wyrażenie o Bogu, użyte przez Szenwalda, nazwał „drobnym błędem“ i „potknięciem natury poetyckiej“, natomiast prawdą jest, iż napisałem, że:

1) „Można wspomnieć o usterkach poezji Szenwalda“;

2) „można powiedzieć, że nie mile uderza nas takie zdanie jak“ (tu wymieniam bluźnierczą cytatę);

3) że możnaby wyciągnąć kilka potknięć natury poetyckiej ,czy samowoli gramatycznych, jednakże nie miałoby to celu“;

4) Całość jest tak porywająca, że drobne błędy giną i tracą swe ujemne znaczenie“.

Zdania: 1, 2, 3, są zdaniami współrzędnymi, z których każde nie da się zastąpić sąsiednim i treści w nich zawartej nie można utożsamiać. „Drobne błędy“ wymienione w dniu 4, nie odnoszą się do bluźnierstwa, które nie jest błędem poetyckim, a zdanie 4 odnosi się do ogólnej formy literackiej utworów.

Wydaje mi się, że uwaga Wielebnego Księdza Jeża polegać może bądź na niejasnym sformułowaniu przeze mnie zdania złożonego, w którym zdania współrzędne wyrażały trzy odrębne myśli, bądź też na wręcz błędnej interpretacji tego ustępu przez Wielebnego Księdza.

Zgodziłbym się w pełni z Księdzem Jeżem, gdyby zarzucił mi, że niedostatecznie ostro podkreśliłem bluźnierstwo i zbyt słabo je napiętnowałem. Tym niemniej muszę stwierdzić, że zdanie takie u Szenwalda spotkałem tylko raz jeden i wymieniłem je nie jako regułę, ale jako pewne curiosum w ogólnej twórczości poety.

Szenwald, jako człowiek zapewne nie wierzący, nie odczuwał drastyczności swego powiedzenia, tak jak odczuwa je każdy teista. Wiersz, w którym spotykamy się z bluźnierstwem, „Śpiew złodziejski“, wyobraża ogrom zła na świecie, ogrom nieszczęść, ogrom podłości i poeta sam w nim konkluduje pesymistycznie:

„Siły naszej wystarczy by zniszczyć,
by zbudować nie starczy nam sił“.

Jest to już uznanie własnej słabości i kajanie się za to, co w wierszu zostało powiedziane. Możnaby to zresztą dokładnie przeanalizować. W każdym razie poeta zdaje sobie sprawę ze zła swojej drogi, drogi „ciemności“. Od rozpoznania zła do pokuty jest bliżej, niż od zaślepienia i samooszukiwania.

Wielebny Ksiądz pisze dalej, że bluźnierstwo to „rzuca gruby cień w związku z całą recenzją na całość utworów autora, która ma być „porywająca“. Szkoda! Nie tędy droga!“.

Owszem, bluźnierstwo może rzucać na autora cień, jako na chrześcijanina (którym zresztą, o ile wiem, Szenwald wcale nie był), ale nie musi rzucać cienia na jego wartości literackie. Literacko i artystycznie całość może być i jest (przynajmniej dla mnie) porywająca. Chyba nie sądzi Ksiądz, że t y l k o katolicy, czy chrześcijanie mogą osiągnąć wysoki poziom artystyczny?

„Szkoda! Nie tędy droga!“ — kończy Ksiądz. Oczywiście, szkoda, że Szenwald nie obrał drogi prawdy. Ale o tym już mówić za późno. Sprawa przebrzmiała. Nikt już Szenwalda na inną drogę nie skieruje. Nie my sądzić będziemy jego postępowanie. Rozumiem, że wykrzyknik końcowy odnosi się do Szenwalda, a nie do „Dziś i Jutro“, jako pisma, lub do mnie, jako do autora recenzji. Czy tak?

Recenzję mą nazwał Wielebny Ksiądz przesadną, a nawet tendencyjną. Nie poczuwam się do tego. Pisałem to, co czułem, szczerze i starałem się zająć jak najbardziej obiektywny punkt widzenia. Nie jestem w tym stanowisku zupełnie odosobniony, czego jednym z dowodów może być recenzja Haliny Kamienieckiej o poezji Szenwalda p. t. „Poeta płonącej młodości“. („Tygodnik Warszawski“ Nr 48 r. ub.), która posiada z moją liczne punkty styczne. Chcę nadmienić, że p. Kamieniecka wymienia właśnie „Śpiew złodziejski“ jako jeden z najlepszych utworów Szenwalda.

Recenzję moją nazywa Wielebny Ksiądz „niekonsekwencją, która z katolicyzmem tygodnika nie da się pogodzić“.

Czyżby tygodnik katolicki nie mógł oddać „co cesarskiego cesarzowi, a co boskiego Bogu“? Dla czego nie można przyznać dużych wartości przeciwnikowi ideologicznemu? Czemu odrzucać zasadę fair play?

Dziwi mnie fakt, że rozciągnął Wielebny Ksiądz powątpiewanie w katolicyzm na cały tygodnik „Dziś i Jutro“, a nie wyłącznie na autora recenzji. Jest to mym zdaniem, krzywdzące „Dziś i Jutro“ uogólnienie. Zdarza się czasem, że maszyna jest dobra, a tylko jedna śrubka szwankuje. Czy wyrzuciłby Ksiądz całą maszynę, jako bezwartościową?

Na przyszłość „poprawimy śrubkę„ jeśli coś jej nie dopisuje, ewentualnie możemy ją wyrzucić, czy zastąpić. Maszyna będzie szła. Radbym wielce, gdyby Wielebny Ksiądz nie zrażał się jednym nieporozumieniem, w którym ze strony autora recenzji nie było napewno złej woli zaszkodzenia w czymkolwiek sprawie katolickiej i śledził dalej rozwój „Dziś i Jutro“, które nie boi się najostrzejszych krytyk, czego najlepszym dowodem jest umieszczenie listu Wielebnego Księdza.

Wyciągam dłoń do zgody z nadzieją, że ją Ksiądz przyjmie.

Marek Antoni Wasilewski

DO REDAKCJI „DZIŚ I JUTRO“

Szanowna Redakcjo!

Prosimy uprzejmie o zamieszczenie na łamach „Dziś i Jutro“ załączonego komunikatu, który pragniemy ogłosić w związku z przygotowywaną obecnie publikacją o życiu Żydów na t. zw. „papierach aryjskich“ w okresie okupacji.

Żydowska Komisja Historyczna przygotowuje do druku tom o Żydach, którzy przebywali w okresie okupacji na t. zw. „aryjskich papierach“. W związku z tym zwracamy się do wszystkich osób, które bądź same żyły na „aryjskich papierach“, bądź pomagały im, bądź z innych przyczyn miały sposobność obserwacji na wspomniany temat, o łaskawe złożenie zeznania w naszym biurze, względnie przesłanie zeznań na piśmie pod adresem Woj. Żyd. Kom. Historyczna, Kraków, Długa 38.

Woj. Żyd. Kom. Hist.,
Kraków, Długa 38.

Ś † P.

Emilia z Bzowskich Bieńkowska

opatrzona Św. Sakramentami zmarła w Świdrze dnia 11 lutego 1947 roku, przeżywszy lat 70.

Pogrzeb odbył się 15 lutego na cmentarzu Bródzieńskim.

O czym zawiadamiają:

SYNOWIE, SYNOWE I WNUKI.

Koledze Redaktorowi, posłowi Witoldowi Bieńkowskiemu serdeczne wyrazy współczucia z powodu śmierci Jego Matki składa

REDAKCJA i ADMINISTRACJA

Redagują: Jan Dobraczyński, Bolesław Piasecki. Wydawca: Kolegium redakcyjne.

Adres Redakcji i Administracji: Marszałkowska 81 m 17, tel. 880-71. Konto P. K. O. — Nr I—727. Adres Oddziału Krakowskiego: Kurkowa 5 m. 4.

Sekretarz redakcji przyjmuje: codzień, prócz poniedziałków i sobót, godz. 12.30—13.30.

Prenumerata miesięczna 40 złotych. Kwartalna 120 złotych.

Złożono w Zakł. Graf. „Dźwignia“, Widok 24. B-20273 Odbito w drukarni „Czytelnik“ Nr 2, Marszałkowska 3/5.